



NR 12 (56)

CENA 1 ZŁ

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 22 marca 1959 r.



PANI SZAMBELANOWA

z WALEWIC — czytaj na str. 8

W pogoni za złotym kamyczkiem — czytaj na str. 6

ULICA WOLBORSKA

nr 40

JAN KOŁODZIEJ



Jest w Łodzi kilka ulic, które niedługo przestaną istnieć. Wolborska, Jakuba, Zielona, Krawiecka, Stodolniana. Ulica Wolborska stanowiła kiedyś południową granicę Starego Miasta. Nikogo dziś nie interesują jej dawne przebudzenia i zmierzchy, jej dozorey, koty i sklepiki pachnące stęchlizną, gazowe latarnie.

Na mapie z 1823 roku widnieje dróżka, która biegnąc nad stawem przecina rzeczkę i prowadzi dalej krętym szlakiem do Starej Wsi, Wójtostwa, Zarzewa i dalej do słynnej rezydencji biskupów w Wolborzu.

Na miejscu, gdzie obecnie znajduje się park staromiejski były mokradła, gmina wiejska wydała pozwolenie na założenie młyna wodnego „prope oppidum Lodzia in torrente Jasien”. Potem wolborski wakt miał wielkie znaczenie

—konkurował z drogami wodnymi do Piotrkowa, do Torunia, do Brzezin — „ku wielkiej Polsce”. Z czasem znaczenie to zmalało, pozostała uliczka z charakterystycznym do dziś pochyleniem terenu w stronę dawnych stawów i mokradel.

Dziś nie ma tu ani jednego sklepu — dawne handlowe centrum, pełne ruchu i zgiełku jest teraz ciche i spokojne. Na uboczu, nie mieszcząc się w żadnych planach architektonicznych, na przekór wszelkiej symetrii, stoją na ulicy Wolborskiej ostatni stary dom Oznaczony jest numerem 40, choć nie ma już ani ulicy ani innych domów.

Schody w domu pod numerem 40 są już bardzo stare i zniszczone. Jeszcze przed wojną współwłaściciele nieruchomości nie mogli się zgodzić kto je właścic-

wie ma reperować — stało się to powodem licznych awantur, interwencji policji, najdziwniejszych chyba pod słońcem klauzul i specjalnych zastrzeżeń odnotowanych w hipotece domu. Tymi schodami schodzili w latach okupacji mieszkańcy tu Żydzi w swoją ostatnią podróż. Kiedy w grudniu 1940 roku na sąsiedniej ulicy Jakuba pluton żandarmerii dokonał pierwszej masowej egzekucji Żydów, było to jednocześnie wyrok i na „stara” Wolborską. Śmierć getta była i śmiercią ludzi, gdy oni ginęli rujnowano i domy, każdy ślad ich istnienia.

Stanisław Dwornik opowiadał mi, że w ostatnim domu straszy. Mówił zresztą niechętnie — bał się wywołać zło. Na czwartym piętrze domu przy ulicy Wol-

(Dokończenie na str. 7)

Piszę ten felieton z głębi powiatowej Polski. Tam, w dalekiej Warszawie trwają jeszcze obrady III Zjazdu, a tu — miasteczka, zapomniane miasteczka Ziemi Lubuskiej. Małeńkie światy na cztery spusty zamknięte, otoczone lasem, drzewami nad jeziorami, zasnęły pośród morenowych wzgórz.

Jakże łatwo uwierzyć w pozory! Ot, chociażby teraz, w tej chwili, kiedy siedzę przy trzeszczącym stoliku, na kulawym krześle w hotelu, powiatowym hoteliku. Miasteczko nazywa się Sulęcín. Obok chrapie mój przygodny towarzysz, jest tu „na delegacji” i używa świata. Jeszcze przed godziną pił tego w gospodzie. Przez ścianę słychać roznamiętnionych pokerzystów, od strony rynku dobiegają pijackie okrzyki. A w górnym rogu pokoju szmerze głośnik radiowy. Słyszę wyraźnie, że Polska jest już krajem nowoczesnym. Nie mogę tego pojąć. Nowoczesnym? O jakiej nowoczesności mówi warszawski komentator radiowy z okazji III Zjazdu? Milkną głosy na rynku, poszli wreszcie spać pokerzyści, osacza mnie gęsta, prawie materialna cisza małego miasteczka. Czy znajdę tu tę nowoczesność? Gdzie jej szukać?

Na początku odczytu byłem wprost wściekły na tę radiową nowoczesność. Ledwiełem rozpoczął, kiedy huknęły z trzaskiem drzwi. Na salę pojawił się pijany młodzieniec, także „nowoczesny”. Wąziutkie, pomarszczone porteczki, rozcięte w dole, krótki płaszczyk. Włos przystrzyżony a la Tytus, a w ręku nóż. Tym właśnie nożem chciał bronić wolności uczestnictwa w zebraniu publicznym. Skoczyli ku niemu kierownik Wydziału Kultury i kierownik biblioteki, organizatorzy wieczoru. Uległem pozorom bez reszty. Chuligan zabrał niechętnie milicjanta. Milicjant klął jak szewc, gdyż był kinomanem. Kupił już bilet dla siebie i dziewczyny, a tu masz ci los! Odprowadzają na posterunek, jeszcze żeby kogo ważnego... „Noce Cabirii” rozpoczęły się bez milicjanta. Rozpaczliwa sytuacja! Jednak pozory zaczęły szybko znikać. No, bo proszę sobie wyobrazić — z jednej strony „hukają pijane chłopy”, chuligan z nożem na publicznym odczytzie, a z drugiej? Z drugiej zaskakująca

dyskusja o literaturze, jej roli we współczesnym społeczeństwie. Jezeli jakieś profesje, jakieś zawody nie mogą obejść się bez siebie, to z pewnością dzieje się tak z pisarzem i jego najwzniejszymi przyjaciółmi — bibliotekarzem i nauczycielem. Pierwszy tworzy, dwaj pozostali upowszechniają tę twórczość.

Rola literatury w powia-

wielu pozycji „nowoczesnych” niezrozumiałców.

— Z czym do ludzi? — pyta siwy nauczyciel. Ma za sobą trzydzieści lat pracy nad upowszechnianiem czytelnictwa. Ja wiem, nauczyciel upraszcza trochę sprawę, ale czy można się dziwić, że woła o książki czytelnice, zrozumiałe dla mieszkańców powiatowej Polski, pośród których żyje blisko 60 lat? Sam próbuję wyobrazić sobie Białoszewskiego pod strzechą i ani rusz nie wychodzi. A przecież nazwisko jest tylko symbolem, stoi za nim kilkuset młodych poetów, Bóg zresztą wie ilu ich mamy, może już dwadzieścia tysięcy? Wszystko wskazuje na to, że mnożą się daleko szybciej niż czytelnicy.

Wydała mi się groźna, bardzo groźna, sprzeczność pomiędzy twórcą i czytelnikiem. A spośród stoi nasz terenowy działacz kulturalny i trzyma w ręku od dziesiątków lat wciąż te same książki — Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa.

Gorzów to też powiatowa Polska, szersza już jednak, większa, z własnymi tramwajami. Gorzów ma artystyczną piwnicę (o potęgę naszego snobizmu!) gdzie abstrakcyjni pisarze powiatowi i powiatowi poeci abstrakcyjni przemawiają do siebie ponad głowami reszty Polaków. A Polacy chodzą po zniszczonym śródmieściu i entuzjastują się perspektywami odbudowy. Wystarczy zaczepić pierwszego lepszego przechodnia, a już cię prowadzi na ulicę Łokietka, pokazuje nowe bloki i — słowo daję, bez przesady, patykiem na ziemi rysuje plan zabudowy pustego placu, na którym stoi tylko śliczna, gotycka katedra. Zwracam częściowo honor komentatorowi III Zjazdu, zaczynam powoli rozumieć, co tu jest naprawdę nowoczesne — przeciętny obywatel, który sprząta gruz i zajmuje w marzeniach nowe mieszkanie przy rynku, przeciętny działacz kulturalny, który woła o realistyczną literaturę czy ów „nowoczesny” młodzieniec?

Ow „nowoczesny” młodzieniec odem z gorzowskiej piwnicy, wąski, ulizany, pozbawiony mięśni, czy-

(Dalszy ciąg na str. 2)

WIESŁAW JAZDZYŃSKI

Z głębi powiatowej Polski

powiatowej Polsce — doprawdy pasjonujące zagadnienie! Na sali garstka, najwyżej trzydziestu ludzi, przeważnie pracownicy kultury. Któryś rzuca pytanie — dokąd za współczesnych pisarzy będą pracować na wsi, w miasteczkach, Kraszewski z Sienkiewiczem?

Wraz z tym pytaniem wtargnęła na salę, nie zawsze może uświadomiona, ale wyraźna atmosfera Zjazdu. Chciałbym swoje wrażenia, sądy, notować ostrożnie, muszę jednak napisać, że najwięksi przyjaciele pisarza są trochę zaniepokojeni, a w ich głosach dzwięczy nawet niekiedy nutka rozgoryczenia. Z punktu widzenia terenowego działacza, który ceni literaturę, odnosi się do niej z niebywałym nabożeństwem, mniej jest ważny fakt ukazania się na rynku Kafki, Becketta, Sartra czy

Nasza szkoła

Czy beczka miodu jest taka duża, że nie zepsuje jej tyłka dziegciu? — Nie.

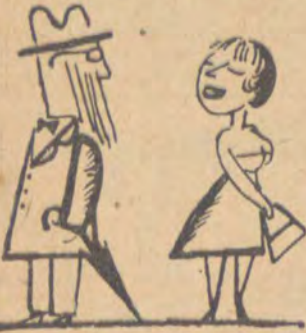
Czy tyłka dziegciu jest tak mała, że nie zepsuje beczki miodu? — Tym bardziej nie.

Po prostu. Każda tyłka dziegciu zepsuje każdą beczkę miodu pod warunkiem...

Zył był w Białostockiem ks. Kurkowski i dostał dwa lata więzienia za uwodzenie nieletnich dziewcząt. Nauczyciel on na wsi religii, sprzątał uczenniczkę do siebie na plebanie, tam co ładniejszym kazał zostawać „tete a tete”, sadzał sobie takiego żeńskiego trzynastoletka na kolanach i mówiąc rzeczy nabożne załatwiał co potrzeba. Zaalarmowana kuria przetransportowała go gdzie indziej. Ale gdzie indziej też były dziewczynki do nauczania, sprzątał je księżdz do plebanii i da capo.

W sprawie wdał się prokurator. Odebrł się sąd. Ks. Kurkowski dostał karę pułd.

Nic w tym strasznego. Na całym świecie zdarzają się



lubieżni katecheci i ich ofiary. Na całym świecie karze ich prawo świeckie bądź kościelne. Na całym świecie wreszcie porusza to opinie lokalną, a czasem poprzez łamy gazet — szerszą.

Na polskiej wsi z chwilą skądinąd rzeczonym księdza pokazali się rzeczy dziwne. Zanim o nich opowiem — uczynię małą dygresję.

Ksiądz na wsi jest osobą na świeczniku i w tym sensie, że każde jego poczynanie, nawet najbardziej błahę, jest żywo komentowane i bezkompromisowo oceniane. Ksiądz ma absolutny autorytet, ale też wymagania w stosunku do niego są proporcjonalne do rangi jego autorytetu, to znaczy maksymalne. Bardzo to zdrowa składana zasada i szkoda, że stosowana wobec duszpasterzy, nie obejmuje czasami ludzi sterzących na świecznikach świeczkach.

Ale wspomniany wyżej mechanizm przestaje działać, kiedy tylko taki np. ksiądz wejdzie w jakakolwiek kolizję dla się nieprzejmącej z władzami państwowymi. Nie wynika to bynajmniej z niechęci do wspomnianych władz, jak to często ongi u nas było. Po prostu kult męzczenstwa jest u nas w Polsce wciąż wyższy ponad wszelkie inne kultury, ponad purytańskie zasady etyczne naszych wsi, ponad normalne mechanizmy oceniania i rozgraniczania „złego i dobrego”.

Póki ks. Kurkowski zabawił się z nieletnimi dziewczętami, opinia publiczna gotowa była go smażyć na wolnym ogniu i jej reprezentanci jeździli pełni świętego oburzenia z pyskiem do biskupa. Ale gdy tylko ks. Kurkowski wędrował za kratki, fakt ten miał uradować, zaspokoić poczucie sprawiedliwości, wywołał wprost przeciwnie skutki. Ksiądz-amator nienajmoralniejszych zabaw z dziećmi, awansował na świętego i męczennika, a

Przypowieść

wiesz gotowa jest jego ofiary — owe dziewczątka właśnie spalić na stosie, gdyby nie to, że dziwnym zrządzeniem historii, stopy wyszły z mody.

Oto więc wiesz uznana, nie bez udziału kolegów po fachu ks. Kurkowskiego, że jest on Bogu ducha winny, zaś winna wszystkiemu jest... ta właśnie czternastoletnia owieczka, która „zgnubiła nieśczęsnego pasterza”. Nikt więc z owieczką nie chce słać w ławce szkolnej, nikt z nią nie rozmawia, dzieci rzucają za nią brzydkimi słowami, i nawet nauczycielstwo nie myśli tu ingerować. Kiedy „parszywa owca” wkracza do kościoła, wokół niej czyni się wielka i wymowna pustka. I wreszcie pewnej nocy dom jej zostaje obrzucony kamieniami. Dziewczynka nie wytrzymała. W kilka dni po wywaleniu szyb w domu jej rodziców — ucieka ze wsi.

Wbrew podstawowym, najprymitywniejszym zdolnościom do oceny zła i dobra wieść krzywdzi skrzywdzoną, znęca się nad ofiarą, gdyż tylko dobijając ofiarę, kańczonizować można dręczyciela.

W polskich wsiach zasady etyczne panują dosyć niewzruszenie. Może są one nadmiernie sztywne, czasem niehumanitarnie sztywne i krzywdząco bezkompromisowe. Zawsze są one archaiczne, zwyczajowe a nie intelektualnie przyjmowane, bez rozumowego rozeznania, dialektycznego, a czegoś nie, dlaczego A jest dobre, a B złe. Ale przecie jakie są, takie są, a za to jakie są, takie i działają w zasadzie bez pudła.

I oto zachodzi sytuacja w jakis sposób klasyczna: jest ofiara wyposażona we wszystkie cechy przyszłowej ofiary z naiwnych moralitetów — mała krzywdzona dziewczynka. Jak w dziełach wiekopiętnych literaturze do wyciskania łez. I jest młody drab-krzywdziciel, czy-

miodzie i dziegciu

niący ową krzywdę, że tak powiem w rejonach, na które opinia publiczna jest niezwykle uczulona. Mało tego krzywdziciel z racji swej profesji rządy dusz, urzędowego apostoła moralności jest przez środowisko wielokrotnie z zasady surowiej oceniany, niż zwykły człowiek bez pomazanych właściwości.

A mimo to działający na wizualną wyobraźnię obrazek: sutanna za kratkami sprawia, że czarna suknia duchownego zasłania wszystkie prymitywne zdolności do rozeznania kto jest kto, kogo potępić, komu współczuć.

Każda tyłka dziegciu zepsuje każdą beczkę miodu pod warunkiem, że nie tylko będzie dziegieć, ale ludzie zgodzą się jeszcze i uznać, że on istnieje. Rodzaj ludzki tak uczulony na smak wszelkiego dziegciu ma zarazem zadziwiająco zdolność niezauważania dziegciu, gdy z jakichś szczególnych względów zauważyć go nie chce. Powiada wtedy „nie ma dziegciu”, mimo że młód śmierdzi na kilometr.

Dobrze by było zdolność tę ludziom odebrać.

Tak myśli

BELFER.

List do Beltra

Drogi i kochany Beltrze!

Wśród licznych nauk, które rozdzielasz swojej tróćce, wydaje mi się, że zapomniałeś o jednej: co robić z niesfornymi uczniami „Naszej Szkołki”? Znowu bowiem bardzo niegrzecznie zachował się „Enfant terrible” z „Naszej Szkołki”, uroczy głądź, pan „Hendryk” z „Głosu Robotniczego” (patrz „Ze środy na piątek” zamieszczony w dniu 4 marca). „Hendrykowi” nie podoba się fakt, że „Odgłosy” ośmieliły się podać krytykę jakości publicystyki przedzjadzowej na łamach łódzkiej prasy. I w swym „kazaniu” ze „Środy na piątek” próbuje Twój niesforny uczeń udowodnić, że „Odgłosy” interesują się tylko filmem „Awantura o Basie”, morderstwem na francuskim kolekcjonerze Paulu Guillaume i krzywym nosem Sylwina Owianki. Uczeń „Hendryk” dał tym dowód, że zadanego mu materiału nie czyta, nie przetrawia, ale że korzysta ze „ściągaczek”.

Czy wzięłeś, Drogi Beltrze, pod uwagę, że niektórzy uczniowie zamiast całych artykułów będą tylko czytać tytuły? Reportaż o Owiance nosił tytuł: „Nos Sylwina Owianki”. Ale potem w artykule nie było nic o nosie, tylko o wielu nieszczęśliwych i poważnych sprawach, a ten tytuł — był podany, ot tak, żeby

skontrolować pilność i sumienność naszych uczniów...

Czy wzięłeś, Drogi Beltrze pod uwagę, że materiał drukowany w „Odgłosach” może być dla wielu uczniów zbyt trudny? I tak np. „Hendryk” nie pojął, że publikowano historię morderstwa Paula Guillaume nie jedynie głośli rozrywki, ale przede wszystkim dlatego, aby ukazać moralność francuskiej finansjery. Pozwól sobie także zauważyć, że „Hendryk” zupełnie nie przeczytał tak poważnych publikacji w „Odgłosach”, jak reportaż o tragicznej sytuacji młodych nauczycieli w woj. łódzkiej, o niezwykle poważnym problemie „Trzeciej zmiany” w Łodzi.

Na korzyść „Hendryka” wypadła jednak zapisana, że pod koniec swego kazania wykłada łódzka publicystyka i o jakie problemy winna ona walczyć. Biję on na alarm z powodu kłopotów pewnego cudzoziemca: „Oto podczas spaceru po Łodzi odezwała się w nim nagle naturalna potrzeba. Wszedł od apteki, a w aptece, o zgrozo — nikt mu nie chciał użyć klucza do dwóch zer” — grzmi pan „Hendryk”.

I ma rację. Problem „dwóch zer” w Łodzi — to rzeczywistość ważna sprawa. Ale czy ta najważniejsza?

Twoja pilna uczennica

Nie oczekiwaliśmy od III Zjazdu partii zwrotów niespodziewanych, zaskakujących sformułowań, fajcerwerków, błyskotliwych ocen i czupurnej polemiki. III Zjazd PZPR ocenia okres historyczny, w którym dokonały się w Polsce szczególnie ważne przeobrażenia. Ich współtwórcą i realizatorem była nie tylko partia, ale i cały naród. I nie tylko partia, ale cały naród ma być realizatorem programu, który wytycza partia na swym III Zjeździe. I to właśnie tłumaczy, dlaczego Zjazd znalazł się w centrum zainteresowania całego narodu.

Czego oczekiwał naród od Zjazdu? Oczekiwał potwierdzenia historycznego zwrotu, dokonanego na VIII Plenum i stabilizacji generalnej linii partii. Oczekiwał poświadczenia o trwałości drogi, po której kroczymy. Odczucia społeczeństwa są różne, różne są w takim stopniu, jak różne i niejednolite jest nasze społeczeństwo. Były przecież środowiska, grupy, jednostki, które pod określenie „przemiany październikowe” podkładały treść — odejście od socjalizmu. Te grupy rozczarowały się, dla nich październikowa stabilizacja podsumowana na III Zjeździe to klęska, to obrócenie w niwecz ich nadziei. Zaś ci wszyscy, którzy w październikowym plenum partii, widzieli naprawę socjalizmu, nie mają powodów do politycznych rozczarowań.

Na żadnym odcinku partia nie odeszła od październikowych decyzji. Ani w dziedzinie ekonomicznej, którą cechuje dalsze odejście od centralistyczno-biurokratycznych metod zarządzania przemysłem, ani na wsi, gdzie stabilizacja polityczna i zerwanie z doktrynerstwem pozwoliło uruchomić dalsze rezerwy produkcyjne, ani w stosunkach między państwem a kościołem, ani wreszcie w samych metodach sprawowania władzy, które przed październikiem były, niestety często niegodne pięknych ideałów socjalizmu. Nikt, kto nie popełnia czynów przestępczych nie zna w Polsce w roku 1959 uczucia strachu przed władzą państwową, a to nie jest przecież rzecz bagatelna. Praworządność jest zawsze właściwą, choć nie jedyną, miarą stosunku obywatela do państwa.

Po okresach wzdziętów, po okresach wielkich słów, serce narodu zaczyna bić normalnym rytmem, przestają się liczyć wielkie słowa, one nawet drażnią. Liczą się natomiast czyny, nieefektywne często, owocujące po latach. Życie wraca w normalne koleiny i wówczas na czoło ludzkiej zainteresowań wybijają się szare, codzienne sprawy. Mówi się o pensjach, o premiach, o „trzynastce” dobrym dyrektorze i drańskim kierowniku, o szynce na święta, o tym, jak to się tam Janek w szkole uczy, i kiedy będzie się można przeprowadzić do nowego mieszkania.

Rodacy nie toczą noenych rozmów, gdyż rano trzeba iść do roboty, a we wspólnym przyćmianym mieszkaniu, to by się i sąsiadówi przeskądzało tymi dyskusjami.

Nie znaczą to wcale, że 20 milionów dorosłych ludzi zamieszkujących 318 tys. km kw. między Odrą a Bugiem, nie mówi i nie myśli o wielkich sprawach narodu czy miejsca Polski w świecie. Na pewno mówi, ale wiele prawd ugruntowało się już w umysłach. Do takich prawd ugruntowanych i zaakceptowanych przez serca i umysły milionów Polaków, należy pojęcie socjalistycznej Polski, pojęcie wspólnoty socjalistycznej.

I tak samo, jak po latach małżeństwa nie wraca się często do wzniosłych słów młodzieńczej miłości, choć kocha się nadal, tak

JACEK LEBEN

Partia i naród

samo nie zawsze się wraca do generalnych ogólnonarodowych pojęć. I tak jak w małżeństwie, codzienne życie rozmięka miłosne ideały na konkretne sprawy, tak samo w odczuciu narodu wielkie pojęcie socjalistycznej Polski rozmięka się na drobne pozornie zadania codziennego życia.

III Zjazd zajmuje się konkretnymi, z których składa się socjalizm, zajmuje się polityczną działalnością.

I znów może ktoś powiedzieć: — nie ma już klimatu października, nie ma jawnego ścierania się różnorodnych sił politycznych, nie ma obu szumiących skrzydeł samej partii.

I na to można znaleźć odpowiedź. W politycznej gorączce października, działały również siły antysocjalistyczne. Wyszły na zewnętrz, atakowały. Partia wyzwalająca się z błędów minionej epoki i rozdarta walką owych szumiących skrzydeł nie była często w stanie dać antysocjalistycznym siłom należytej odpary. Grasowały więc one swobodnie na minionych błędach, na naszej trudnej rzeczywistości. Tak rzeczywistość było. Wielu ludzi lubi tego rodzaju atmosferę i jej podniecy, ale nie była to prawidłowość. Prawidłowością jest to, że partia zdołała pokonać antysocjalistyczne siły, i że skrzydła samej partii zostały odciete i przestały szumić. To jest właśnie stabilizacja. Stabilizacja w warunkach Cytatury proletariatu.

Niemal całe społeczeństwo ocenia partię z tego punktu widzenia czy odchodzi ona, czy też potwierdza linię października. Podobnie międzynarodowy ruch robotniczy ocenia drogę naszej partii pod kątem jej wierności ogólnym prawidłowościom budownictwa socjalistycznego i proletariackiego internacjonalizmu.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że pewne siły w międzynarodowym ruchu robotniczym nie zrozumiały początkowo i nie oceniły należyte znaczenia październikowych przemian w naszym kraju. Nurtowały te siły obawy, że zmiany w Polsce doprowadzą do odejścia od podstawowych zasad budownictwa socjalistycznego i internacjonalizmu w polityce zagranicznej.

Dziś już żadna partia w międzynarodowym ruchu robotniczym nie powie, że droga wytyczona przez VIII Plenum nie jest drogą budownictwa socjalistycznego. Różni się ona od „innych dróg” o tyle, o ile nasze warunki społeczne i ekonomiczne oraz narodowe tradycje różnią się od analogicznych warunków innych krajów socjalistycznych. Na III Zjeździe, jak pisała jedna z zachodnich gazet „cały międzynarodowy ruch komunistyczny oklaskiwał Gomułkę”.

Można chyba nazwać linię polityczną naszej partii zwycięską, można też powiedzieć, że odczucie większości narodu polskiego nie wraca się często do wzniosłych słów młodzieńczej miłości, choć kocha się nadal, tak

Z głębi powiatowej Polski

nej strony szmira, z drugiej elitarna literatura, a po środku Polacy.

Myślę sobie — Gorzów, to duże miasto, taki nasz Piotrków z hakiem. Nowe miasto, nietypowe, jeśli chodzi o nasze rozważania na temat społecznej roli literatury. Ale Nowa Sól? Kilkanaście ulic na krzyż, kilka tysięcy ludzi i morze lasów wokół. W Powiatowym Domu Kul-

tury, gdzie występują — wystawa miejscowych plastyków. Sami realisci. Poczciwie te, kolorowe obrazki, ściągnięte skądś, skoplowane, choć mówią o Nowej Sól, ale cieszą oko, no w końcu to chyba dobrze, że rosną ogniska plastyczne w powiatowej Polsce.

Jest tu jeden jedyny „nowoczesny” tasztysta. Nie dopuścił go do wystawiania, więc grzmi na całą salę, że Nowa Sól to ciemnogród, który straszy realizmem, średniowieczem. Komendant Ochotniczej Straży Pożarnej odkłada złoty kask, wstaje i replkuje:

— Panie Kowalski, zrób pan coś wreszcie dla ludzi i będzie spokój. To już nie są pozory. Największy przyjaciele twórców, lekceważeni często przez nich działacze kulturalni, choć żyją w sennych na oko partykularzach, bardziej są współcześni niż warszawka „Współczesność”. Jej czołowy poeta i publicysta proponuje erotyzm bez osłonek jako drogę do narodu. I w ten właśnie sposób, często nawet nie dość świadomie, popiera generalne założenia polityki kulturalnej naszej partii. Nie wierzę, aby nasi twórcy nie chcieli się liczyć z tymi głosami, że chcą stracić najwierniejszego przyjaciela.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

BĘDZIE CZY ŁÓDŹ CZYSTA?

WŁADYSŁAW
RUDZIŃSKI

tego samego odcinka ulicy w ciągu jednego dnia prowadzą do dwóch całkowicie ze sobą sprzecznych wniosków.

Jeden z nich to wniosek dość powszechny — o nieładzie i brudzie stolicy Francji. Przeczy temu znów sprawna organizacja porządkowa na codzień.

Gdy czytam o wciąż zapowiadanych (trzeba przyznać nieraz wprowadzanych w czyn) krajowych, Wielkich — przez duże „W” — uroczystych akcjach porządkowych (Lublin, Poznań) na pamięć przychodzi uporczywie ów dostosowany do wymiarów kulturalnego człowieka — wzorzec francuskich stosunków. Wzorzec ten jest zasadniczo sprzeczny z niemieckim a zwłaszcza z szwajcarskim, putzerskim drylem. — Nasz uroczysty, spontaniczny, odruchowy gest odświętny jest wynikiem „katza” spowodowanego udęką codzienności — brudnych dni sześciu, po których na nie domyty kark nasuwamy w niedzielę blizną — czując kołnierzyk. Nadejście potem znów poniedziałny roboczy dzień i wrócimy z uporem do stałej, nieodmiennej sytuacji: nie domytych okien, brudu pod stołem, odrapanych elewacji i tyłu, tyłu innych atrybutów życia codziennego. Licząc zatem na niewątpliwie, doraźne sukcesy zapowiadanej akcji porządkowania Łodzi, życzyłoby się sobie należało utrwalenia doraźnych zdobyczy. Chodzi o wdrożenie do stałego utrzymywania czystości na łódzkich skwerach, placach, elewacjach i ulicach.

Elewacje ulic łódzkich, a zwłaszcza ich partery są moim zdaniem kluczowym zagadnieniem uprządkowania miasta — nadania mu europejskiego wyglądu. Jest rzeczą powszechnie znaną, że frontony łódzkich kamienic, przy Piotrkowskiej i poza nią, powstały w XIX wieku, w okresie dominacji nastawionej, eklektycznej architektury. Nie przedstawiają więc one żadnej wartości plastycznej. W parterach tych kamienic urządzono sklepy. Poszerzenie i unowocześnienie wystaw tych sklepów spowodowało oderwanie się parteru od pozostałych pięter. W XX wieku parter się „unowocześnił” — góra jest jak była dotąd, eklektyczna. Sytuacja podobna występuje zresztą we wszystkich miastach całego świata. Wszędzie ta sama rozbieżność stylowa dolnych i górnych kondygnacji.

Elewacja parteru, jako narażona na uszkodzenie, wszędzie otrzymała bardziej szlachetną oprawę: kamień, blachę, szkło, a w gorszym wypadku tynk tak zwany szlachetny lub „lastrico”. Nasze nieszczęsne miasto, będąc od samego zarania „Kopciuszkiem”, nie zdobyło się na owe szlachetne okładziny i zostało nagminnie opędzowane farbą olejną. Jest dla mnie jedną z wielu (typowo łódzkich) tajemnic, dlaczego czynniki sprawujące fachowy nadzór nad budownictwem w Ło-



Ulica Piotrkowska 160

dzi nie zdobyły się dotąd na administracyjny zakaz stosowania tej farby. Przecież każdy laik wie doskonale, że jest ona główną przyczyną dewastacji tynku. Powierzchnie zdewastowanych elewacji łódzkich kamienic urastają już w kilometry kwadratowe. Gdy mowa o doraźnym doprowadzeniu do porządku wyglądu budynków w Łodzi, to w pierwszym rzędzie, niestety, trzeba zacząć od tego co bliższe — od tego z czym stykamy się na codzień — a więc od elewacji parterów. (Komu śni się i kto marzy o masowej rekonstrukcji gipsowych sztukaterii górnych kondygnacji temu przypominę wiekoletni, notabene bez rezultatu, odpowiednio kosztowny remont domu przy al. Kościuszki nr 1).

Remont parterów jest sprawą bardziej realną, bo istnieją użytkownicy. (MHD, ZSS i inne), którzy rok rocznie wydatkują w samej Łodzi miliony złotych na urządzenie (dewastowanych następnie dość prędko) wnętrz sklepowych. Gdyby zmusić owe instytucje do urządzenia elewacji remontowanego (kosztem często kilkuset tysięcy) sklepu — gdyby przez dwadzieścia lat, od ostatniej wojny — tych ciągłych remontów sklepów — znalazł się ktoś kto by umiał wyegzekwować taki konsekwentny remont — nasza brudna Łódź przedstawiałaby zgoła inny widok. Dzisiejsza akcja porządkowa mogłaby się ograniczyć do umycia (czego „kulturalny” użytkownik u nika jak zarazy) okien skle-



pu, wyczyszczenia SIDOLEM metalowych ram okiennych i drzwi — umycia w końcu nigdy nie mytych szklaków i okładzin. A tak — niefrasobliwy na codzień administrator — w ten Wielki Świąteczny Dzień Prania Brudów, zaduma się nad ciągle nie załatwioną, leżącą odłogiem — sprawą elewacji parterów. Obawiam się, że tradycyjna farba olejna „wybawi” go jeszcze raz z kłopotu.

Gdy mowa o zastosowaniu tzw. szlachetnych okładzin dla elewacji sklepów, nie sposób pominąć milczeniem zimnej obojętności, na jaką problem ten natrafia u czynników odpowiedzialnych, kompetentnych i miarodajnych. W wielu głowach tzw. fachowców tkwią dziwaczne i nieradne poglądy w myśl których jedynym materia-

lem nadającym się do okładzin jest drogi kamień, stosowany na cmentarzu granit, marmur lub piaskowiec. O innej okładzinie nikt nie wie — nikt nic nie słyszał. Na temat zastosowania szkła, blachy, kolorowej folii, trawertynu milczy literatura fachowa, milczą podręczniki. Nikt nie zna metody przyklejenia szkła do tynku, stosowanego masowo w sąsiedniej Czechosłowacji. Nie mogą stosować kamienia (cena 1 metra kwadratowego przy granicy dochodzi do 1.000 zł), nie znając metody przyklejania szkła (koszt 120 zł), nie mówiąc o folii powrócić musimy do czego? — tylko do łódzkiej, tradycyjnej farby olejnej.

Stosunkowo niedawno ukazywały się w prasie krajowej marzycielskie artykuły na temat kolorowych ele-

wacji, cudownych okładzin stosowanych na „wysionym” Zachodzie, w słonecznej Italii i południowej Ameryce. Nie znajdowano słów podziwu dla bliznących biały, gładkich elewacji, reprodukowanych na kredowym, białym polyskującym papierze. Polysk i kolor mogą u nas budzić zachwyt dotąd dopóki oświetlenie je cudowne słowo „zagranica”. Pojęcia te egzystują na tak wysokim piedestale zachwytu dopóki nie zostaną wprowadzone do naszej szarej codzienności. Biada jednak temu, kto owe marzenia pragnie przenieść z kredowej reprodukcji do rzeczywistości — tylko do łódzkiej, tradycyjnej farby olejnej.

Stosunkowo niedawno ukazywały się w prasie krajowej marzycielskie artykuły na temat kolorowych ele-

wacji, cudownych okładzin stosowanych na „wysionym” Zachodzie, w słonecznej Italii i południowej Ameryce. Nie znajdowano słów podziwu dla bliznących biały, gładkich elewacji, reprodukowanych na kredowym, białym polyskującym papierze. Polysk i kolor mogą u nas budzić zachwyt dotąd dopóki oświetlenie je cudowne słowo „zagranica”. Pojęcia te egzystują na tak wysokim piedestale zachwytu dopóki nie zostaną wprowadzone do naszej szarej codzienności. Biada jednak temu, kto owe marzenia pragnie przenieść z kredowej reprodukcji do rzeczywistości — tylko do łódzkiej, tradycyjnej farby olejnej.



Ulica Kilińskiego

Operacja „Merkury”

(V)

Po kataklizmie człowiek otrząsa się dość szybko, gdy stwierdza, że kości jego zostały nienaruszone. Kapitulacja 250-tysięcznej armii greckiej w Epirze niewątpliwie wstrząsała Anglikami, choć nie wydaje się, aby poważny był w tym wstrząsie udział czynników moralnych. Później dopiero historia wykazała bez osłonek, że kunktatorstwo Wilsona było główną przyczyną klęski Greków. Korpus angielski, w skład którego wchodziło około 5 dywizji posiadał więcej czołgów, pojazdów mechanicznych i innego ciężkiego sprzętu niż cała grecka armia licząca 20 dywizji. List użył do operacji w Grecji 6 dywizji zmotoryzowanych i 4 pancerne — korpus angielski równoważył więc co najmniej połowę sił niemieckich. Cóż, że równoważył, jeżeli nie brał właściwie efektywnego udziału w kampanii.

Nadszedł wszakże dzień 19 kwietnia 1941 r. i stało się jasne, że armia grecka przestała praktycznie istnieć. Papagos nie szczędził wprawdzie wysiłków dla szybkiego skoncentrowania ocalałych z pogromu wojsk na południe od Aten, Anglicy zrozumieli jednak, że teraz właśnie wybiła godzina ich próby. Z zajmowanej pozycji byli zupełnie zadowoleni. Od wschodu zabezpieczała ich flota, od zachodu góry Pindus. Tu, według swego mniemania, mogli przyjąć walkę spokojnie.

23 kwietnia szybkie dywizje niemieckie osiągnęły wybrzeże Zatoki Korynckiej. Stąd do Peloponezu odgradała im drogę 7-kilometrowa cieśnina morską. Pod Patrą i na Przesmyku Korynckim, przeciętym pełnomorskim kanałem żeglownym, stacjonowały nieliczne oddziały greckie, uznane wszak przez dowództwo alianckie, jako zupełnie wystarczająca osłona przed ewentualnością desantu. Zresztą wielkie desanty ofensywne istniały dotychczas tylko w ekscentrycznych rojeniach różnych mało znanych generałów, szu-

kających widać drogi do sławy wojennej na łamach wojskowych periodyków. Nikt, przynajmniej w Grecji, nie brał poważnie tych „rojeń”. Pozycja, której mógł zagrozić tylko atak z powietrza, była pozycją absolutnie pewną...

— Rozumiemy, że straty pana armii, generale, są ogromne, ale przyzna pan, że wojna wkracza obecnie w wyraźnie stabilny okres. Na zapleczu mamy prawie cały potencjał gospodarczy waszego bohaterskiego kraju, a możliwość organizowania rezerw nie będzie niczym zakłóconą. Za armię Epiru Niemcy zapłacą wysoką cenę — stracą ostatecznie impet natarcia na tej linii obrony, której historia dała rangę symbolu nieprzejednania i woli zwycięstwa.

— Czy można się spodziewać dalszych dostaw sprzętu?

— W tej chwili komplikuje się sytuacja w Afryce. I dlatego zapewne Londyn zwleka z podaniem dokładnej wysokości dostaw. Ale sam fakt ich wysłania jest oczywisty.

— Panowie zechcą jeszcze wziąć pod uwagę pewne aspekty polityczne. Obrona Aten ma w tym układzie zasadnicze znaczenie. Rząd nasz liczy na to, że panowie nie będą traktować Grecji wyłącznie jako bazy ograniczonej do Peloponezu. To by miało fatalne skutki w naszej polityce wewnętrznej...

— Premier Churchill udzielił waszemu narodowi gwarancji niepodległości. Rozumie się, że niepodległość jest pojęciem szerszym, niż utrzymanie baz na Peloponezie...

26 kwietnia, godzina 4.00 rano. Z prowizorycznych lotnisk w Epirze podrywają się setki maszyn z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Bombardowanie rozpoczyna się równocześnie w kilkunastu punktach 150-kilome-

trowego wybrzeża Zatoki Korynckiej, koncentrując się głównie na strefach lokalizacji wojsk greckich. O szóstej rano Przesmyk Koryncki jest zryty bombami, a „Messerschmidty” ogniem broni pokładowej paraliżują wszelki ruch. W tym czasie nadlatuje 120 trzymotoryzowanych „Junkersów” i zaczyna się pokaz nowoczesnej wojny. Na błękitnym niebie Koryntu wykwitają niezliczone spadochrony. Miasto i mosty nad kanałem zostają uchwycone niemal bez walki. Tu właśnie brak przestrzennej wyobraźni brytyjskich wyspiarzy przesądził o losach Grecji...

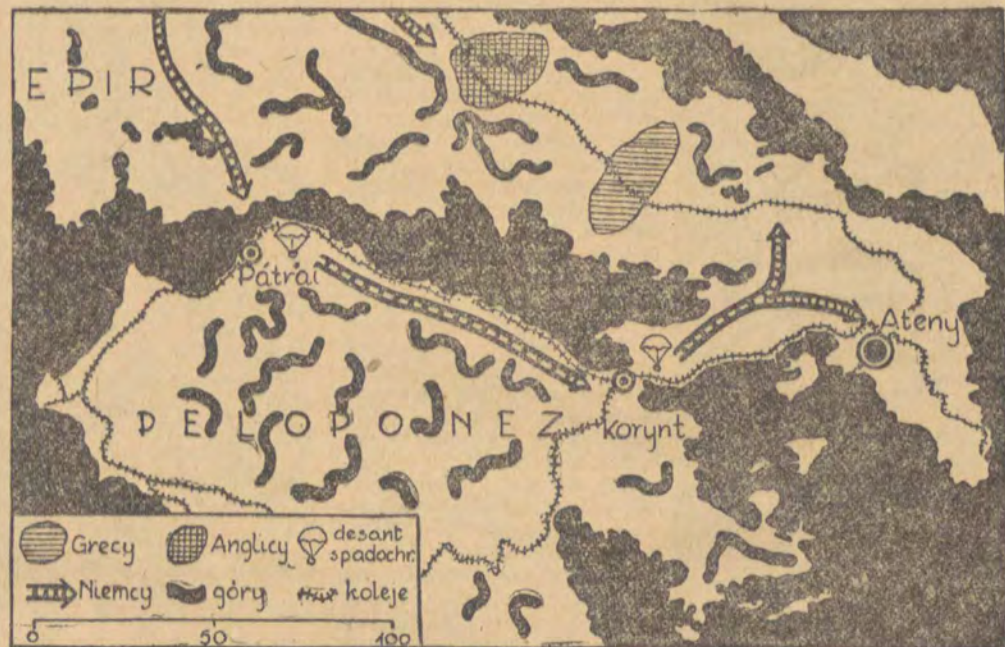
W sztabie angielskim poruszenie. Oficerowie biegają bezładnie po korytarzach, potrącając się, gorączkowo skandują informacje z ostatniej chwili. Droga na Peloponez przecięta!

Generał Wilson postanawia przebiec Przesmyk Koryncki. Jest jednak zbyt systematyczny, aby decydować bez należytej rozważań. Z ołówkiem w ręku kalkuluje swoje możliwości. Od wczoraj korpus już walczy — Niemcy bowiem rozpoczęli natarcie od północy na Przełęcz Termopileńską. Wszak to jest główna strategiczna szansa i nie można jej zniweczyć osłabieniem rezerw korpusu dla zlikwidowania jakiejś spadochronowej demonstracji. Niemcy oczywiście zniszczą mosty na kanale, ale to nie jest tragedia. W rezultacie wysyła jeden pułk i kilkanaście czołgów. Od dowództwa greckiego przychodzi zresztą szyfrowany komunikat, że dwie dywizje maszerują szybko na Korynt i jutro można się spodziewać likwidacji desantu. Tak zresztą być powinno. Niech się Grecy o to martwią.

Dzień 26 kwietnia jest brzemienny w wielkie wydarzenia tej kampanii. Chociaż czołwki greckiej odsieczy nawiązują już walkę



Armia Epiru skapitulowała...



ze spadochroniarzami na Koryncie, to jednak dalsze godziny niosą aliancom nowe niespodzianki.

Tymczasem sytuacja pozornie stabilizuje się. O godz. 12 w południe spadochroniarze zmuszeni są do opuszczenia wysuniętych stanowisk, odpięając z trudem zaczepki ataki Greków. Na coś jednak widać czekają, bo opór ich jest równie zaciekły i nie podejmują prób zniszczenia mostów — wręcz odwrotnie, wszystko wskazuje na to, że strefa mostów jest najsilniej broniona. Grecy nie mogą nabrać rozmachu, bo oddziały zbyt wolno wchodzi do walki. Przeszkadza temu intensywna akcja niemieckich lotników. A poza tym posiłki pancerne korpusu brytyjskiego spóźniają się...

We wczesnych godzinach popołudniowych desant koryncki zostaje powtórzony — w nieco mniejszych rozmachach — pod Patrą. Tym razem cel bardziej ograniczony. Spadochroniarze

bez trudu opanowują niewielki odcinek wybrzeża, aby przygotować lądowanie oddziałom z Epiru. Tu, w Zatoce Korynckiej, nie ma brytyjskiej floty. Brytyjska flota wciąga pilnuje skrzydła korpusu Wilsona. List bez trudu przerzuca dwie dywizje zmotoryzowane na Peloponez. „Dywan” spadochronowy na mostach korynckich położony już jest od rana*).

Dalsze wydarzenia rozwijają się błyskawicznie. Jeszcze tego samego dnia dywizje zmotoryzowane przerzucone z Epiru łączą się z desantem na Koryncie i przekreślają ostatnią szansę obrony Grecji. Wilson podejmuje decyzję całkowitej ewakuacji. Przeprowadzają ją w bardzo trudnych warunkach w nocy z 26 na 27 kwietnia, 8 tysięcy pojazdów mechanicznych, cały sprzęt ciężki i około 15 tysięcy ludzi jego korpusu dostaje się w ręce Niemców. W południe 27 kwietnia Niemcy wkraczają do Aten. Kampania grecka jest zakończona. Tylko jeszcze następnej nocy dogasa walka w Prze-

łęczy Termopileńskiej, gdzie resztki ekspedycyjnego korpusu, gwaranta niepodległości Grecji, szukają ratunku na pokładach wiernej, ale szybko starzejącej się floty...

(d. c. n.)

* Tu warto dodać, że nasładować ten manewr marszałek Montgomery w cztery lata później podjął decyzję zrzuca „dywan” spadochronowy na mosty w rejonie Arnheim, co zakończyło się katastrofą m. in. Polskiej Brygady Spadochronowej.

Za tydzień:
ZDOBYCIE KRETY

EDWARD EMSKI Pustynne szczyury



Walenie w drzwi nie odnosi żadnego skutku, nikt nie kwapi się otworzyć. Granat ręczny dokonuje dzieła. Wpadają do środka — wszędzie pusto. Przeszukują pokój po pokoju, trafiają wreszcie na telefonistę dyżurującego przy centrali. Posłusznie siada na ziemi w kacie pokoju. Dwa granaty ręczne do aparatury i czym prędzej na dwór — telefonista z nimi. Wybuch targa powietrzem. Telefonista salutuje, robi przepisowe „w tył zwrot” i spokojnie odmaszerowuje. Uszedłszy jakieś dwadzieścia metrów zaczyna biec — goni go śmiech obu majorów, którzy wcale nie myśla o zatrzymać. Przygotowują właśnie dalsze granaty ręczne.

— Jak myślisz — mówi Easonsmith do Popskiego — granaty wybuchające pod łóżkami chyba ich wypłoszą?

Granaty leca przez okna pierwszego piętra, szereg wybuchów, stłumione krzyki. Ale ani strzelanina i pożary na lotnisku, ani usilne starania majorów nie odnoszą żadnego skutku — z dowództwa nikt nie wychyla nosa. Czekają jeszcze pare minut.

Potem idą na tyły hotelu — jest tam mały placzyk z kilkoma zaparkowanymi samochodami, które major Easonsmith poprzednio uszkodził. Teraz podpalają je i gdy płomienie ogarniają wozy na dobre, spokojnie i cicho odjeżdżają główna ulica aż do jej końca. Tam zawracają. Znowu jada główna ulica ale teraz z hukiem wala z karabinów maszynowych i rewolwerów do okien i drzwi domów, rzucają za siebie granaty ręczne. Jeszcze jeden nawrót i znów plekielna strzelanina. Zbliżają się do rynku. Nareszcie! Pocisk z działka przeciwpancernego świszczy im nad głowami, pierwsza reakcja na uprzejme prowokacje. Skrecają w ciemny zaułek, zatrzymują wóz, ostrożnie wyglądają. Droga prowadząca z El Abiar nadjeżdża czołg, skreca w główna ulice. Na to czekali — sztab w Barce myśli o własnej skórze, zamiast organizować obronę lotniska. Z żalem wracają do pozostawionego na szosie wozu patrolu gwardii.

— Jak cowojuje — mówi major Popski. Major Easonsmith uśmiecha się.

Major Popski liczy ogień płonące na lotnisku — dwadzieścia osiem. Toczy się tam formalna bitwa. Z dachu hangaru strzelają karabiny maszynowe, od czasu do czasu odzywają się moździerze. O godzinie 0050 ogni jest trzydzieści dwa.

Patrol nowozelandzki okrążył miasto i osłaniał lotnisko bez przeszkód. Trafili na nie strzeżoną bramę żelazną, otworzyli ją i dostali się na teren lotniska. Pierwsze serie z karabinów maszynowych poszły w samochód cysternę — potężny płomień oświetlił teren akcji i ułatwił dalsze działania. Wóz jada gęsiego, jeden za drugim, od samolotu do samolotu i każdy przeleżdzając pakuje w samolot kilka serii pocisków zapalających. Na ostatnim wozie mają bomby zapalające — jeśli samolot nie zapalił się od pocisków karabinów maszynowych, dostaje do kabiny bombę, układają ją starannie, potem wóz dogania pozostałe. Lotnisko jest ogromne, samoloty rozrzucone daleko. Jadą w kółko, powoli.

(Dokończenie na str. 5)



BRONISŁAW ALEKSANDROWICZ

STRATEGIA psychologiczna

wana była w rozmaitych formach — w zależności od zagadnień. Były to materiały o treści ogólnopolitycznej, jak i informujące o lokalnych zwycięstwach Armii Radzieckiej; o beznadziejnym położeniu okrążonych grup niemieckich wojsk; o bombardowaniu Niemiec przez Aliantów. Warto wspomnieć, że na początku wojny często rozpowszechniane były jenieckie listy pisane ręcznie, by wśród czytających wzbudzić więcej zaufania co do autentyczności dokumentu.

Ulotki częstokroć były wroga swą satyrą. Kiedy Hitler chciał swą armię podtrzymać na duchu obietnicą wprowadzenia w życie „cudownej broni”, wydaliśmy ulotkę pt. „Wunderwaffe 16-60”, na której widniał m. in. rysunek uzbrojonego smarkacza w wieku lat piętnastu i kulawego starca w wieku lat sześćdziesięciu, dla podkreślenia, że armia niemiecka wyczerpała już wszelkie rezerwy ludzkie.

Dużą rolę w prowadzeniu propagandy wśród Niemców odegrały bezsprzecznie megafony. Głośniki o dużej mocy ustawione były nie tylko na pierwszych liniach frontu, przed

okopami, lecz umieszczano je również na samolotach „U-2”, a przemówienia z powietrza wygłaszane były nocą nad terytorium wroga przy wyłączonym motorze. Szczególnie wielkie znaczenie miały megafony przy likwidowaniu okrążonych grup przeciwnika. Pod Stalingradem nieustannie godzinami mówiono Niemcom o beznadziejności ich sytuacji oraz wymieniano odcinek frontu, który przekroczył parlamentariusze radzieccy, apelując zarazem by do nich nie strzelano.

Ciekawą formą oddziaływania na wojska niemieckie były ustawione niedaleko okopów duże, rysowane na płótnie obrazy satyryczne. Pamiętam jak w kwietniu 1943 roku, w dniu urodzin Hitlera, przed wieloma dywizjami niemieckimi wystawiono olbrzymie karykatury Hitlera — karta z napisem: „Oto solenizant — strzelajcie do niego!”. Reakcja na te plakaty była różna. Początkowo dowództwo jednostek niemieckich nawet wyznaczało zwiadowców, których zadaniem było zniszczenie tych karykatur. Większość jednak tych śmiałości zginęła lub dostała się do niewoli. Wtedy Niemcy postanowili plakaty zniszczyć ogniem artyleryjskim, co jedynie demaskowało ich stanowiska ogniowe, zaś w nocy na miejsce zniszczonego plakatu wystawiano inny.

Prawda o sytuacji na frontach docierała do żołnierzy niemieckich również drogą radiową, a nawet zwiady włączały się w niemieckie linie telefoniczne. Po ustaleniu fali na jakiej pracowały połowe radiostacje blisko stojących jednostek niemieckich, nadawano i na tej fali krótkie komunikaty, a obsługa tych radiostacji koportowała je dalej.

Mówiąc o metodach oddziaływania przez wojska radzieckie na wroga warto również wspomnieć o zwalnianiu jenców z niewoli i odsyłaniu ich na terytorium zajęte przez wroga. Oczywiście, że do tego celu dobiegaliśmy przeważnie takich Niemców, u których wyczuć było można zniechęcenie do wojny i hitleryzmu. Warto podkreślić, że na przykład, przy likwidowaniu ukrytych w lasach na wpół rozbitych oddziałów wroga, jency tacy po pewnym czasie wracali, przynosząc z sobą do niewoli nawet kilkusetosobowe oddziały.

Na zakończenie chciałbym wspomnieć o tym, że w czasie wojny wojska alianckie szeroko korzystały z propagandowych metod wojsk radzieckich, jak i odwrotnie. Wydawany nawet był specjalny biuletyn uogólniający te doświadczenia, z którego m. in. dowiedzieliśmy się, że Anglicy sparaliżowali na kilka dni życie w okupowanym Wiedniu, zrzucając z samolotów idealnie sfalszowane kartki żywnościowe.



Szanowny Panie Redaktorze! Z wielką uwagą przeczytałem zamieszczony w numerze 4/48 z dnia 25 stycznia br. Wasze poczytne pisma artykuł o „Strategii psychologicznej”, jaką Niemcy hitlerowskie stosowały w czasie drugiej wojny światowej. Ponieważ w szeregach Armii Radzieckiej przez dłuższy czas byłem właśnie jednym z tych, których zadaniem było zwalczać tę strategię i aktywnie bronić psychologiczną osłabić hitlerowska maszyna wojenna, pozwolę sobie — jeśli redakcja na to wyrazi zgodę — zapoznać z tymi sprawami Waszych Czytelników.

Dowództwo Armii Radzieckiej od samego początku wojny wysoko oceniło znaczenie broni psychologicznej. Strategia radziecka w tej dziedzinie różniła się krańcowo od tej, jaką stosowali Niemcy. Faszystów atakował kłamstwem, oszczerstwem, fałszowaniem faktów; radziecka strategia nie tylko demaskowała te kłamstwa, ale śmiało atakowała prawdą. To właśnie ta broń, obok, oczywiście, siły militarnej, stała podwaliną korzenia armii niemieckiej i doprowadziła do jej całkowitego upadku.

A sprawa nie była wcale łatwa, szczególnie w pierwszym okresie wojny. Trudno

było wówczas, gdy wojska niemieckie posuwały się na wschód, przekonywać żołnierzy hitlerowskich, że niezależnie od chwilowych lokalnych zwycięstw, wojnę przegrać muszą. Czynnikiem to jednak nieustannie, wykorzystując każdy najdrobniejszy argument, każdą wygraną bitwę, sięgając nawet do historii, a szczególnie do smutnych doświadczeń Napoleona na ziemi rosyjskiej.

Temu zasadniczemu celowi radzieckiej strategii psychologicznej podporządkowana była odpowiednia taktyka psychologiczna, zależna od etapu wojny i danego odcinka frontu.

Podstawowym środkiem psychologicznego oddziaływania na wroga była ulotka. Wydawano ich wiele (zarówno centralnie, jak i lokalnie — w zależności od zagadnień), a docierały one do żołnierzy niemieckich różnymi sposobami: zrzucone z samolotów, przesyłane przy pomocy specjalnych pocisków artyleryjskich, które eksplodując rozrzucały zawarte w nich ulotki, przenoszone na wrogie tereny przez zwiady, rozpowszechniane przez partyzantów itp.

Ulotki obejmowały różną tematykę i treść ich pod-



PUSTYNNNE SZCZURY

(Dokończenie ze str. 4)

początkowo nikt im nie przeszkadza. Dopiero po jakimś czasie odzywają się ciekawe karabiny maszynowe z dachu jednego z hangarów, otwierają ogień kilka moździerzy. Nikt nie zostaje jednak trafiony.

Nowozelandczycy są już na lotnisku prawie godzinę. Wszystkie samoloty, które znalazły, płoną. Najwyższy czas wracać — zbiórka wyznaczona jest na godzinę 0100. Wyjechawszy przez bramę, Nick Wilder zamierza w prawo skręca w lewo i dopiero po chwili orientuje się, że zamiast jechać dookoła miasta droga, która przybyła, jedzie wąską główną ulicą Barea. Reflektory jego wozu wylatują z ciemności trzy czolgi ustawione w poprzek ulicy: obrona dowództwa, wezwana na skutek chłopców figli majorów Easonsmitha i Popskiego.

Czolgi stoja w trójkąt. Dwa tylnie ruszają do przodu, zderzają się, są unieszkodliwione. Trzeci otwiera ogień. Oślepieni reflektorami samochodu, strzela za wysoko.

Ulica jest wąska, nie ma mowy o tym, by zawrócić pod ogień. Nowozelandczycy nie mają na swoich wozach broni dostatecznie ciężkiej, by czolgi zniszczyć. Nick Wilder prowadzący pierwszy samochód naciska pedał gazu do deski. Wóz gwałtownie przyspiesza i zderza się z czolgiem. Półtoratonówka podnosi się do góry i zwala się na wieżyczkę czolgu — oba pojazdy zamieniają się w kupę pogiętego żelastwa. Załoga wozu zeskaakuje, wskakuje do pozostałych wozów — Nick Wilder do pierwszego jeepa, którego strzelec ustępuje mu miejsca. Droga jest wolna aż do dworca, skąd dochodzi strzelanina. Pechu gaz i ogień ze wszyst-

kich karabinów maszynowych!

Dojeżdżają do placu dworcowego. Ulica skręca tu ostro. Kierowca jeepa, oślepiony pociskami świetlnymi karabinu maszynowego, z którego siedzący obok niego Wilder strzela, najędza na krawężnik i wywraca wóz. Sam zostaje odrzucony na bok. Wilder leży przygnieciony wozem. Leje się na niego benzyna. Załoga następnego wozu wyskakuje, stawia jeepa na koła. Jadą Wildera — nieprzytomny, może nie żyje? — do swego samochodu, jadą dalej, po chwili są już na miejscu zbiórki, gdzie czekają majorowie Easonsmith i Popski. Zjawia się i jeep, trzeci wóz został na czolgu, ale gdzie czwartym? Brak pięciu ludzi. Ich wóz, jadący jako ostatni, został odcięty.

Ostrożnie składają Wildera na ziemi. W miarę jak wyprowadzają z niego benzyna, wraca do siebie. Jeden z Nowozelandczyków jest ranny. Raptownie pada na ziemię.

— Biedny Jimmy. Nie żyje! — A jakże! Chciałem się tylko trochę wyciągnąć. Nie dajcie człowiekowi poleżeć spokojnie! — mówi nieboszczyk podnosząc się z ziemi.

Wszyscy śmieją się. Jest im lekko i radośnie.

Patrol gwardii, dowodzony przez wachmistrza Dennisa, miał za zadanie zaatakowanie koszar, aby nie pozwolić stacjonowanemu tam oddziałom na interwencję na lotnisku. Udało im się to w zupełności. Jeździłi dokoła budynków koszarowych, strzelając z karabinów maszynowych i rzucając granaty ręczne przez okna. Teraz wracają. Brakuje jednego wozu z załogą.

Szwadron wykonał zadanie. Wracają do Sidi Selim, gdzie czeka na nich lekarz i wóz radiowy. Major Easonsmith jedzie naprzód — chce jak najszybciej nawiązać łączność z oddziałem Stirlinga, który miał zaatakować Benghazi. Czy czolgi włoskie stacjonowane poprzednio na szosie będą na nich czekały? Nie, droga jest wolna.

Radiooperator daremnie stu-

ka kluczem. Nie otrzymuje żadnej odwiedz. Co się stało ze Stirlingiem?

Czekają na reszcie szwadronu. O trzeciej nadjeżdża wachmistrz Dennis, składa meldunek: ostatni wóz jego patrolu zjechał z drogi i przewrócił się.

— Byli pijani — myśli major Popski — zasłużyli sobie na to, co ich spotkało.

— Jedziemy, Popski — mówi major Easonsmith. Major Popski siada do jeepa. Wie równie dobrze jak i Easonsmith, że jeżeli zostawia tę załogę jej zasłużonemu losowi i natychmiast rusza szwadronem na południe, dwie pozostałe Jeszcze godzinę ciemności pozwolą im dostać się w głąb pustyni, a tam samoloty nieprzyjaciela — które musi sprowadzić z Benghazi, w Barea wszystkie zostały zniszczone — nie tak łatwo wykryją tych kilka wozów, które im zostały. Godzinna zwłoka — to różnica między bezpiecznym odwrotem i prawie pewną katastrofą. On osobiście zarządziłby natychmiastowy odwrot i zostawił pijaków ich losowi. Decyzja majora Easonsmitha, który nie chce ocalić swoich najlepszych ludzi kosztem słabej załogi, nawet jeśli ta załoga zwinila sobie sama, budzi jego podziw. Przyjmuje ją z pewnego rodzaju pokora. Uznaje rację człowieka, który wykonał w pełni zadanie, uważałby swoją misję za chybną, gdyby pozostał na łasce losu najmniej doświadczonych ze swoich podwładnych.

Żołnierze siedzą cichymi przy przewróconym samochodzie, wśród rozsypanego na wszystkie strony ekwipunku.

Owiązują wóz liną przycepioną do ciężarówki i stawiają go z powrotem na koła. Wracają do Sidi Selim i szwadron wyrusza.

Gdy wjeżdżają w skalisty przesmyk niedaleko obozu włoskiego w Sidi Rauli, który major Easonsmith poprzednio ostrzelał, zaczyna szarżyć. Z obu stron drogi błyski, grzechot wielu karabinów maszynowych.

D. c. n.

KONRAD JERZY FREJDLICH

ŁÓDŹ

1
tramwaj —
za oknem
miasto przypięte do szyby
szyba jest chłodna
i poranek —
ryk syren
osiada na domach
wroga przy wyłączonym motorze.
Szczególnie wielkie
znaczenie miały megafony
przy likwidowaniu okrążonych
grup przeciwnika. Pod
Stalingradem nieustannie
godzinami mówiono Niemcom
o beznadziejności ich
sytuacji oraz wymieniano
odcinek frontu, który przekroczył
parlamentariusze radzieccy,
apelując zarazem
by do nich nie strzelano.

2
kominy prowadzą dymy
na smyczy
bo gryzą niebo
dymy chodzą w kagańcach
z trakcji tramwajowej
bo gryzą niebo

3
ulica jest wąska
jak naciągnięty drut —
gdy jedzie tramwaj
druga

JAN HUSZCZA

SAMOBÓJCZYNI

Gdyby po tej śmierci, o której czarna wieść już się rozeszła, na jeden dzień zmarłychwstała, byłyby to najpiękniejsze godziny w jej życiu:

pryszczate właścicielki jezorów,
które odmawiały strzelistości jej nogom,
ostrości jej piersiom pod kruchą łupiną taftowej bluzeczki,
teraz, gdyby szła do pracy drewnianym chodnikiem,
szłołaby ze szczęścia,
prosząc o zadanie sobie pokuty;

dwie siostry, niezbyt szczęśliwe mężatki,
zapomniałyby na chwilę o swoich sporach z mężami
— czekając na jej odwiedzinę,
szukałyby najstosowniejszych dla czułości słów;

dla niej znalazłoby się miejsce siedzące w zatłoczonym tramwaju,
a drzewa zwarłyby nad nią gałęzie,
gdyby nagle spadł ulewny deszcz;

kochanek, który od trzech tygodni nie podchodził do telefonu

blagalby o zielony listek uśmiechu,
tlenione jej włosy nazywając złocistą zawieją,
złorzecząc sobie,
wstydząc się odbicia swego w lustrze,
pragnąc wymyślić jakiś kwiat, świecący z daleka w nocy,
aby go nazwał jej imieniem;

biurowi koleczy przynosiłoby na srebrnych tacach,
wykradzionych z hotelu dla cudzoziemców,
wina, pomarańcze i czekoladki;

któ wie,
któ wie, może także przyznano by jej pokój z łazienką w nowym domu,
zaklinając ją, aby opuściła kłitkę pod schodami,
w której martwa, nim ją wywozą na cmentarz, leży.

5. XII. 58

WACŁAW MROZOWSKI

REFLEKSJA

Gdy słońce głowę kładzie do snu i zmierzchniętym sypie nieczym popiół, coraz gęściejszy i wciąż niżej, aż wreszcie zasypuje kościół, jak fiołków woń spóźniona wiosną zieleń kościńska, i wciąż bliżej okien podchodzi, wtedy chłodem od Obry niesie, pachnie miodem, wybuchy fontann cichną w dali jak uderzenia serca w śnie i słyszysz: dzień się nocy żali, że go nawiedza nazbyt wczesnie.

Wtedy mnie wchłania parku ciemność, wołanie sów w okrutnej ciszy, czuję, na ławce siada ze mną, ta, której nigdy nie usłyszę, którą zabrały nietoperze w ostatnim tańcu na swych skrzydłach: tak kiedyś kładło się w ofierze woń myrry, złota i kadzidla.

A kiedy wracam, pies mnie wita, na niebie gwiazd rzucone nuty zdają się z okna cicho pytać: czemuś, poeto, taki smutny?

Cóż odpowiedzieć nocy czarnej ma czarny człowiek z czarną duszą, czujący czarny chłód ementarzy którego rzeczywistość kruszy?

W POGONI za żółtym kamyczkiem

"TAMA" — TO TAKA LITERACKA NAZWA PEWNEJ POWIATOWEJ MIEŚCINY. PRZEZ WIELE, WIELE LAT MIESZKALI I ŻYLI W NIEJ LUDZIE ZDECYDOWANI NA WSZYŚTKO TO, CO PRZYNIOSIE LOS PRZEZNACZONY IM PRZY STWORZENIU ŚWIATA, A ZAPISANY W „KSIEGACH NARODU” POD ROZDZIAŁEM: ZAPADŁA PROWINCJA.

PONIEWAŻ JEDNAK I W ŻYCIU PROWINCJI ZDARZAJĄ SIĘ RZECZY PIĘKNE, WIĘC I „TAMA” PEWNEGO DNIA OBCHODZIŁA UROCZYSZCIE ODŚLONIECIE ZIELONYCH SKWERKÓW ZASIANYCH NA RYNKU W MIEJSCIE OBSKURNYCH STRAGANÓW ZMIECIONYCH OSTATECZNIE PRZEZ HURAGAN WOJENNY. A Z TYCH SKWERKÓW OD RAZU POWIAŁO TAKIM OPTYZMIZMEM, ŻE WZNIESIONO NIEZWŁOCZNIE W ICH CENTRUM OBELISK NA CZĘŚĆ NADCHODZĄCYCH DO „TAMY” NOWYCH CZASÓW.

Nowe czasy szły jednakże do „Tamy” bardzo opornie. I chociaż zapewniano na każdej akademii, że ciut, ciut... a „Tama” zakwitnie niczym ogród Allacha wszelakim dobrem, to przecież — kiedy opuszczałem miasteczko dziesięć lat temu — ówczes-

nej sytuacji społeczno-ekonomicznej nie mógłby nikt „Tamiakom” zazdrościć. Poczciwe ludzkie serca nie były już żadną nadzieją. Raz drgnęły mocniej, ale to było przed wojną, kiedy ogłaszano w latach trzydziestych, iż „Tama” znalazła się w centrum COP-u. Lecz te nadzieje rozwały się razem z pierwszymi bombami we wrześniu, prawie dwadzieścia lat temu. A potem, chociaż minął czas wojny, nikt — oprócz „Tamiaków” w możliwości gospodarze tej ziemi nie wierzył. Dwie linie kolejowe... Kiepska, jedyna szosa i wyboiste trakty... Zrujnowane miasteczka i biedne wsie... Bieg życia ekonomicznego pozostawiono tutaj własnemu losowi. Rozwijano, względnie podtrzymywano przemysł jedynie tam, gdzie już był i ocalał z zawieruchy wojennej. Mielec, Stalowa Woia, Dęba, Rzeszów... Reszta skazana została na próbę przejęcia przez coś, w rodzaju przyrodniczej naturalnej selekcji. „Tama” również. Wytrzyma — dobrze. Nie wytrzyma — strata niewielka.

Zamierała więc „Tama” śmiercią naturalną. Każdego roku, każdego miesiąca, nawet dnia, miasteczko stawiało się cichsze, smutniejsze, bardziej wyludnione. Nie mogło i nikt nie był w stanie ożywić siedziby nadwiślańskiego powiatu, nawet



Leon Wyczółkowski, Sandomierz

chłuba „Tamy”, rodowity pisarz doby współczesnej, który nadał miasteczku właśnie imię „Tamy” i pod tym tytułem ogłosił zaraz po wyzwoleniu autobiograficzną powieść. Powieść ta pogodziła zwaśnionych, zaś zgodnie dotąd współżyjących ze sobą mieszkańców powasniła. W rezultacie pisarz, widząc jaki bezpośredni wpływ ma jego twórczość na życie, natychmiast przezornie wyjechał w niewiadomym kierunku, co z kolei wprawilo w zakłopotanie działaczy, którym tak nieoczekiwanie rozpadło się środowisko literackie.

Tak więc pod każdym względem „Tama” chyliła się z wolna do upadku. Nie sta-

nowiły już dla niej ratunku nawet zielone, optymistyczne skwerki, ani też godność powiatowego przedmurza wojewódzkiej biurokracji. Ojcowie miasta co roku uchwalali budżet „na podniesienie gospodarki wwyż” i co roku ten budżet krajano w województwie bez litości, pozostawiając jedynie pozycje niezbędne: na sprzątanie rynku, naprawę szosy przecinającej miasto, trochę na remonty domów ledwo trzymających się swoich fundamentów i trochę na „życie towarzyskie” czyli kulturę. I niechybnie „Tama” przestałaby istnieć na tym padole plaču, gdyby w jej dziejach nie rozpoczął się drugi rozdział, kto wie czy nie bę-

dący początkiem sprawdzania się przepowiedni o „ogrodzie Allacha, kwitnącym wszelakim dobrem”. A było to tak.

Pewnego dnia rozeszła się jako „tajemnica państwowa” wiadomość, że w „Tamie” zacznie niebawem brzydko pachnieć. I faktycznie. Zaczęło pachnieć brzydko. Niesforny letni wiatr miał z okolicy do miasteczka zapach tego rodzaju, jakby co najmniej przeniesiono do „Tamy” nasz kochany łódzki Widzew. Równoległe z napływem zapachu co przeczorsniejsi poczuli wykupywać ziemię z nadzieją zrobienia na niej niezłego interesu. Przewidywania te okazały się zupełnie trafne w momencie, gdy przy głównej ulicy poczęto wznosić biurowiec, a w pobliskim lasku zniwelowano teren pod budowę siedemnastu bloków mieszkalnych. Ale oliwy do ognia dołał pewien inżynier, który znów „pod tajemnicą państwową” pokazał wszystkim w mieście żółty kamyczek. Nie było teraz wątpliwości, że „Tama” legła sobie na szlaku S, to znaczy w pasie siarkowym i wszyscy zgodnie uważają, że z tym wykręcającym nosem zapachem idą nareszcie do „Tamy” zapowiadane 10 lat temu w referatach — nowe czasy.

W tym miejscu węz, Czytelniku, mapę naszej ojczyzny do ręki. Poszukamy razem tego miejsca, które postawiło nas w rzędzie największych siarkowych magnatów świata.

A więc odnajdźmy najpierw ujście Sanu do Wisły. Jest? Poniżej tego ujścia leży miasteczko Sandomierz znane z tego, że: przed wielkimi zamurowanymi w podziemnych lochach Tatarów, że nad miastem góruje brama Opatowska, a nad Wisłą brzegiem zamek z czasów Kazimierza Wielkiego, że opodal rynku mieszkał kronikarz Długosz i że Jarosław Iwaszkiewicz czuje się w Sandomierzu niegorzej niż w Leśnej Podkowie czy Warszawie. Niestety, jak dotąd, siarki tu nie ma. Płynąc teraz powolutku Wisłą z Sandomierza w kierunku Krakowa natrafimy po przebyciu 12 kilometrów na powiatowe miasteczko. To jest właśnie ta literacka „Tama”. Wprawdzie na mapie figuruje nazwa Tarnobrzeg, ale proszę tego nie brać pod uwagę. Tak prozaiczne imię mogli nadać miasteczko jedynie założyciele. O ile więcej uroku i

prawdy zamknęła w sobie ta literacka nazwa. „Tama” — to niemal symbol. Tu, jak przed tamą, zatrzymało się życie, zatrzymał się czas. Stąd, niby po otwarciu służ na tamie, popłyną wartkim nurtem odżywcze soki, a ziemia wokół zakwitnie „niczym ogród Allacha wszelakim dobrem”. Bo tu, w „Tamie”, zaczyna się właśnie siarka!

Cztery kilometry poniżej „Tamy” (Tarnobrzeg), płynąc oczywiście cały czas pod prąd w górę rzeki, natrafimy na wieś Machów, a naprzeciw niej — na wieś Piaseczno. W Machów’a buduje się kombinat siarkowy i osiedle przemysłowe. W Piaseczno zaś powstała pierwsza kopalnia. Naturalnie, nie tylko Piaseczno leży na siarce. Na lewym brzegu Wisły złoże ciągną się aż po Staszów, a nawet podobno i dalej. Machów, położony na prawym brzegu, ma również swoją siarkę. „Tama”, uważana już przez tutejszych obywateli za stolicę całego zagłębia, też siedzi na swojej siarce. Pobliski Baranów rości sobie także pretensje do siarkowego udziału. Słowem wszyscy mają „swoją” siarkę. „Tama” swoją, Machów swoją, Baranów swoją, Piaseczno swoją. I już obywatel gotowi są skakać sobie do oczu o to, komu należy się pierwszeństwo w hierarchii siarkowej. Klóć się o każdy nowy biurowiec, blok mieszkalny, bożnicę kolejową (na razie zbudowano jedną). Klóć się o mosty na Wiśle. Klóć się nawet o to, skąd krakowski szewczyk przyłazczył siarkę dla nadziania barana, po zjedzeniu którego rozleciał się z hukiem smok wawelski. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że dla tutejszych obywateli mniejsze znaczenie ma fakt wokół czego krają wystrzelona rakietą kosmiczna, niż to, gdzie powinno stanąć centralne osiedle mieszkaniowe dla pracowników kombinatu siarkowego. W Baranowie, Machowie czy też w „Tamie”. Nawiasem dodam, że inwestorzy siarkowego zagłębia niewiele sobie robią z tych lokalnych sporów. Mimo to wojownicze nastroje miejscowe nie słabną. Bo chociaż złotem jeszcze ani okolica, ani „Tama” nie kąpią, to przecież jest o co wojować. Od chwili kiedy siarka stała się faktem, a 40 mieszkańców w ciągu roku dochrapało się nowych domów wszyscy uwierzyli, że szansa życiowa sama leży w ręce.



ANKIETA o TEATRZE NOWYM Jerzy Szaniawski

1. Artykułu Jana Kotta nie czytałem.
2. Łódź jest wielkim miastem o znanych tradycjach teatralnych: o talencie oraz indywidualności Dyr. Dejmkę dużo słyszałem. Wiem, że wiele miast na Zachodzie stara się utalentowanych ludzi u siebie zatrzymać, zapewnijając im najlepsze warunki do życia. Te ambicje poszczególnych miast, ażeby mieć u siebie coś wartościowego i oryginalnego czego nie posiada stolica, są zupełnie zrozumiałe. Dodaje, że sprawy przeniesienia teatru do Warszawy nie znam i dowiedziałem się o niej z tekstu nadesłanej mi ankiety. Ale o zubożeniu poszczególnych miast z powodu opuszczenia ich przez ludzi utalentowanych słyszę nader często.

Zygmunt Greń

Ankieta „Odgłosów” zaskakuje sformulowaniem swoich pytań. Czy czytałem artykuł Kotta „Niespodzianka z Radziwiłłówną” i jego projekt przeniesienia Teatru Nowego do Warszawy? Co o tym sądzę? — Te pytania wydają się jakimś nowym sądem skorupkowym nad Janem Kottem. W takiej imprezie wolałbym nie brać udziału, tym bardziej że sam pomysł nie jest pozbawiony wyłącznie właściwej temu autorowi piekielnej złośliwości. Przeczytałem ponownie felieton, by utwierdzić się w tym przekonaniu. Nie rzuć więc do urny „Odgłosów” czarnej gałki! Kott jest winny.

Być może natomiast Redakcja wie skądinąd, że istnieje plan przeniesienia Dejmkę — Dejmkę, nie „teatru Dejmkę” — do Warszawy. W takim razie warto się nad tym zastanowić.

Teatru Nowego — przenieść do Warszawy nie można: budynek zostanie i w Łodzi zostanie jego historia, jego tradycja. Myślę że zostawiłby także część zespołu, chociażby ze względów tak prymitywnych jak mieszkania. To zresztą nie byłoby zagrożeniem Teatru. Ale na to miejsce przyjdą aktorzy inni. Tylko od decyzji i samopoczucia Dejmkę może zależeć w tej chwili, czy podjąłby się na nowo zorganizować teatr. Równie dobry. W Warszawie. Dotychczasowe doświadczenia — a nie było ich mało w ciągu piętnastu lat — pozwalają w to wątpić. Koterie artystyczne stolicy potrzebują i znoszą ludzi zahartowanych. Ale wybitnych?

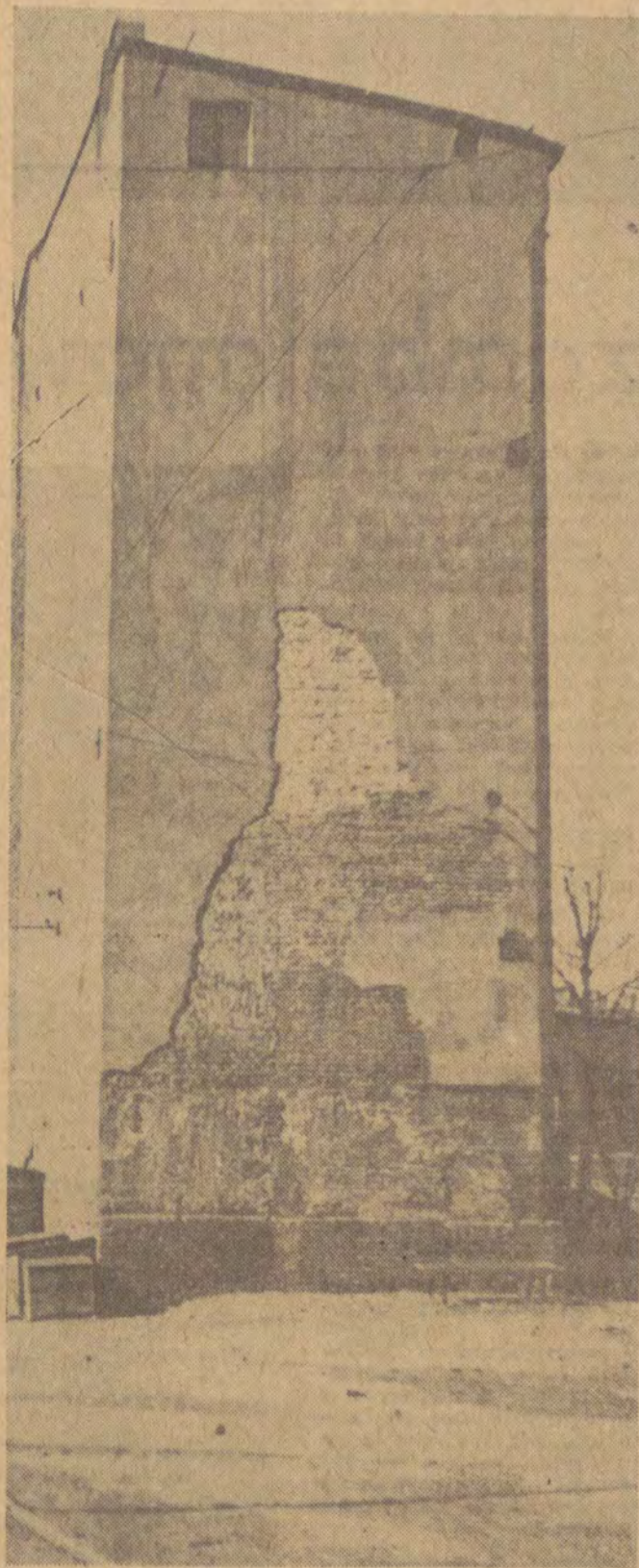
Jest też sprawa Łodzi — jak myślę w ankiecie „Odgłosów” nieostatnia. Trudno tu postronnemu obserwatorowi poszczególnych przedstawień powiedzieć coś wiążącego na ten temat — dopóki nie zna się motywów podobnej decyzji czy postulatu. Wydaje się jednak, że miasto utraciłoby jeden z ważnych argumentów swej żywotności kulturalnej, jak przed dziesięć laty utraciło na rzecz Warszawy czasopisma, literatów, malarzy, ludzi teatru. Ale jeśli wtedy emigracja była uzasadniona, dziś przyczyn realnych i wiążących nie widzę. Teatr Dejmkę nie ożywi ani nie pobudzi teatrów stołecznych, wsiąknie w nie, rozplynie się. Nie dlatego, by nie był silny i ambitny, ale dlatego, że nadludzki sił i ambicji potrzeba by na takie przedsięwzięcie. Mocno wątpliwe.

Nie mogę sobie natomiast wyobrazić, że środowisko łódzkie jest temu teatrowi nieprzychylnie. Napisać w „Odgłosach”, kto jest mu wrogiem — wszyscy staniemy do obronnej potyczki. Bo — wreszcie nie ma co ukrywać: bardzo lubię przyjeżdżać od czasu do czasu do Łodzi i zapewne nie tylko ja, nie odbierając jedynego pretekstu.



ULICA WOLBORSKA nr 40

DOKOŃCZENIE ze str. 1



borskiej pojawiają się podobno w soboty, na szabas duchy pomordowanych. Nikt tego nigdy nie widział, ale odrapany dom jak średnio-wieczne zamki ma swoją legendę.

Schodami od 13 lat chodzą nowi lokatorzy. Z dawnych, przedwojennych, pozostała jedynie lokatorka spod numeru 2 — pani Ochędalska. Do mieszkania pod numerem 1 wprowadziła się rodzina Nowaków. Po latach tułaczki znalazła wreszcie kątek w tym właśnie opustoszałym samotnym budynku. Pod numerem 3 mieszkają Antonina i Antoni Bernasiowie. On codziennie dojeżdża do pracy aż za Łęczycę. Ona zostaje w domu z sześciorgiem dzieci. Próbuje żyć, bo ciężko wyżyć za meżowską pensję. Tu w tym domu przyszło na świat i wychowuje się troje najmłodszych dzieci. Córka chodzi już do szkoły.

Ani rodzice, ani tym bardziej dzieci nie znali przed wojną ulicy Wolborskiej. Nie mogą, jak inni lokatorzy, prowadzić długich, nie kończących się dysput — kto prowadził słynną łaźnię i czy ogórkami były tańsze w sklepiek Szlomy Eizenblata czy Abrahama Wajnberga. Czuję jednak, że nie kłamią mówiąc jak ciężko im będzie ten dom opuszczać. Człowiek przyzwyczaja się i do murów, i do widoku z okna, i do kłamki przy drzwiach.

Jest w Łodzi parę takich ulic, które niedługo przestaną istnieć. Ostatni dom na ulicy Wolborskiej też jest przeznaczony do rozbiórki. Któregoś dnia przyjdą robotnicy i zaczną rozbierać zmurszałe ściany. Buldożery wyrównają teren pod nowe fundamenty, a zamieszkujący tu ludzie przeniosą się do innych mieszkań w nowych blokach. Jedni z ulgą, drudzy z żalem pożegnają stary dom przy ulicy Wolborskiej nr 40.

JAN KOŁODZIEJ

Każda epoka, ba! każde pokolenie ma swojego bohatera. Cóż to takiego jest ów bohater? Jest to po prostu „idealny”, wzorzec, człowiek stawiany innym za przykład, zasługujący na to, by jak on żyć i z niego czerpać natchnienie. Cokolwiek byśmy powiedzieli — nie można myśleć np. o wychowaniu pokoleń bez bohatera, zapalającego wyobraźnię młodych. Stara to prawda, wie o niej każdy ambitniejszy nauczyciel. Za czasów romantyzmu ideałem bohatera był człowiek nieustraszony, rwący się do czynu, najczęściej na polu chwały, taki, dla którego najwyższym nakazem było owo łacińskie powiedzenie: „Jak słodko i zaszczytnie umierać za ojczyznę”. W okresie pozytywizmu zmieniły się wyobrażenia o bohaterstwie. Głoszono wówczas potrzebę przebudowy życia narodu od podstaw, zaszczepienia mu zdolności i umiejętności praktycznych i wtedy za bohatera uważano człowieka wielkiej pracy i cierpliwości, człowieka wiedzy i nauki, dzięki któremu można podnieść na wyższy poziom jednostkę i społeczeństwo. Inżynier, lekarz, agronom, a nawet handlowiec przewijali się często przez karty książek z tamtych lat. W czasie ostatniej wojny bohaterstwo utożsamiano (przynajmniej w naszym kraju) z konspiracją. Bohater to był człowiek pracujący w podziemiu, myślący o wyzwoleniu ojczyzny i czyniący wszystko, by wyzwoleń było bliższe.

W niezbyt odległych czasach „schematyzmu” zwięźle pojęcie bohaterstwa sprowadzając je nieledwie do kilku cech aktualno-propagandowych. Nie też dziwnego, że żywot „takiego” bohatera był krótki i nikt nie potrafił się nim naprawdę entuzjastycznie. Ale oprócz tych cech historycznych bohatera, zmieniających się pod wpływem wydarzeń politycznych, społecznych i obyczajowych, istnieją tzw. cechy stałe, wspólne wszystkim bohaterom wszystkich czasów. Są to: uczciwość, rycerskość, poszanowanie dla drugiego człowieka, pomoc okazywana słabszym, odwaga i zdolność do poświęceń w słusznej sprawie.

Myślę, że najbardziej potrzebuje bohatera młodzież czyli pokolenie, które pragnie dojrzewać i rozwijać się

w oparciu o jak najlepsze i jak najpiękniejsze wzorce osobowe. Wiadomo przecież, że właściwe wychowanie młodzieży wciąż jeszcze sprawia nam mnóstwo kłopotów i nie jest najmocniejszą stroną naszego życia. Niech mi wolno będzie w tym miejscu odwołać się do własnych wspomnień. Moje pokolenie również szukało bohatera. Raz była nim postać historyczna z przeszłości, kiedy indziej — człowiek współczesny, dokonujący czegoś takiego, co podbijało i porывало nasze serca i umysły. Na przykład: Żwirko i Wigura. Drużyny harcerskie chrzcili się ich imionami, a niejeden młodzieniec za ich wzorem poszedł do lotnictwa, by tak jak oni dążyć do rozstrawienia siebie

JAN KOPROWSKI

W poszukiwaniu nowego bohatera

i swego kraju po świecie. Z postaci historycznych najbardziej oczarował nas Kościuszko. Kochał lud, szedł w bój bez lęku i miał poczucie sprawiedliwości, był na krzywdę ludzką wrażliwy i rozumiał, co znaczy być się „za wolność waszą i naszą”. Ale nie tylko to decydowało o naszym zapatrzaniu się w Kościuszkę jako bohatera. Także jakieś drobne codzienne fakty z jego życia. Na przykład to, że Kościuszko będąc w szkole świetnie rysował, że kazał wcześniej rano budzić się przez stróża, by móc oddać się swym ulubionym zajęciom, że nie był „mamusi synkiem”, itd., itp.

Nieraz za bohatera wybieraliśmy sobie dobosza z „opowiadania miesięcznego” Amicisa, kiedy indziej był nim Martin Eden z powieści Londona pod tym samym tytułem.

Mówi się dzisiaj, że młodzież nie ma żadnych ideałów, że młodzież tę cechuje płaski praktycyzm i cynizm,

że nie ma dla niej nic świętego, że to, że owo. Z pewnością jest w tym wiele przesady. Sądzę, że i dziś niejeden człowiek pragnie być dzielny, mądry, pragnie dokonywać wspaniałych rzeczy i że szuka sobie wzorów do naśladowania.

I oto rodzi się pytanie: Jakiego bohatera potrzebuje nasza młodzież? Jakie powinny być te jego cechy i przymioty? Trudno odpowiedzieć na te pytania z całkowitą nieomyślnością, nie chcę ponadto narazić się na zarzut „ustawiacza”, który kreuje zawsze „pozytywnego bohatera”. Wiele do tego zagadnienia mogłoby wnieść nauczyciele, opiekunowie drużyn harcerskich, działacze młodzieżowi. Jedno wydaje się nie ulegać wątpliwości: ideałem dzisiejszej młodzieży nie może być (i nie jest) sentymentalny bohater z epoki romantyzmu czy Młodej Polski.

O ile mogę sądzić, dzisiejsza młodzież pragnie bohatera uniwersalnego: człowieka, który by łączył w sobie wielkie uczucie i wielką sprawność działania. A jeśli tak, to na kogo wskazać, czyje przywołać imię, jakiego zalecić patrona?

Proszę mnie dobrze rozumieć. Daleki jestem od wypisywania recept dla twórców czy wychowawców. Nie mam nic wspólnego z „pi-gularzami”. Istnieją jednak cechy epoki, wydarzenia epoki, wreszcie i ludzie epoki, którzy wywierają wielki wpływ na pokolenia. Przeniesienie tych wartości do literatury czy historii może ten wpływ ugruntować i poszerzyć. Czy to jest schematyzm? Nie sądzę.

Takimi bohaterami mogą być i są w odczuciu młodych rzeczywiście zdobywcy kosmosu, bojownicy z niedawnej przeszłości, dnia dzisiejszego i dnia jutrzejszego, politycy i artyści, wynalazcy i podróżnicy, młodzi entuzjaci i stare doświadczone wygi. Ma ich wielu nasz kraj, mają ich nasi sąsiedzi i narody całego świata. Wszędzie istnieją i wszędzie są, jak latarnie morskie, widoczni.

To nieprawda, że minął czas prawdziwych bohaterów. Minął tylko czas bohaterów papierowych, wystrójonych w sztuczne gorsety okresu swoistej szturmowszczyzny.

Z miejsca też ożywiła się „Tama”. Nawet województwo mniej boleśnie skaleczyło doroczny budżet. Nad odcinkiem szosy przebiegającej przez rynek kołyszą się już lampy jarzeniowe. W ich świetle „optymistyczne” skwarki wyglądają wcale, wcale pozytywnie. Zająśniały także wystawy sklepowe neonowymi reklamami. W Radzie Narodowej załatwiono przychylnie 50 dalszych podań zezwalających na budowę prywatnych domków. Pojawili się taksówkarze wożący pasażerów (oczywiście w biały dzień — prze-ważnie) do odległej od miasta o 2 kilometrów stacji według taryfy bezlicznkowej, ale za to z wielkomięską fantazją. Jeździ od rynku do stacji i z powrotem (oczywiście w biały dzień) autobus. Jeżdżą tam i nazad auta ciężarowe... W ciągu roku przybyło, nie w ramach przyrostu naturalnego, a w ramach akcji zasilania kadry górniczej ponad 1000 (ty-siąc) nowych mieszkańców. Są nowe bloki, cała dzielnica nowych bloków dla 200 rodzin. Jest projekt budowy autostrady do stacji, pięknej szkoły, drugiego szpitala, kina i domu towarowego, restauracji i nowoczesnej kawiarni. I jest siarka. Dużo siarki. Podobno tyle, ile po-

trzeba do zajęcia drugiego miejsca na świecie.

Ile w tym prawdy, wiedzą przypuszczalnie najdokładniej odkrywcy złóż i inżynierowie górniczy. Zwykli śmiertelnicy z „Tamy” opierają swą wiedzę na wiadomościach prasowych. A te są wprost oszałamiające. Jeżeli więc istotnie w roku 1968 planowanie przy biurku pokryje się nareszcie z rzeczywistością i wykopie myślnie milion ton siarki, to począwszy od owego roku będziemy eksploatować jedno tylko złóż przez około 840 lat. A złóż tych odkryto już kilka.

Tymczasem jednak wykopaliśmy 30 tysięcy ton i nie kopujemy dalej. Powód? Jedyna przetwórcza siarkowa na Dolnym Śląsku — Ogorzelec, nie nadąża z oczyszczaniem rudy siarkowej, ponieważ nikt nigdy nie myślał o tym, że będzie musiała nadążać i oczyszczać. Dopiero jak zbudujemy w Machowie kombinat siarkowy, gdzieś między 1960 a 1965 rokiem, pokażemy co potrafimy!

Ten „machowski kombinat” zakrojony jest na skalę ogromną. Będą tu: rafineria rudy siarkowej, fabryka kwasu siarkowego, fabryka pylistego superfosfatu, w

przyszłości powstaną zakłady pomniejsze.

Dwa lata temu Machów był jeszcze maleńką, może sto gospodarstw liczącą gromadą. Co się w tym Machowie dzieje dzisiaj i jak będzie wyglądał wioseczka za lat pięć niech świadczy fakt, że pod budowę kombinatu, urządzeń przemysłowych oraz bloków mieszkalnych i biurowych zajęto ponad 220 hektarów ziemi. A mimo to machowianie patrzą z lekką zawiścią na lewobrzeżnych chłopów z Piaseczna. Tym to dopiero majątek wzięli w ręce bez przeszenia i zabiegów. W Piasecznie jest kopalnia. W Piasecznie kopalnia kupuje ziemię od chłopów płacąc dość sówicie. Pod ornymi polami chłopskimi, na głębokości 15 metrów leży złoty skarb. Zarobić na tym można, o! można...

I oto, na tych do niedawna biednych ziemiach, w cichym Machowie, nieznanym Piasecznie i skazanej na vegetację „Tamie”, trwa dzisiaj niezmodernizowana pogoda z życiodajnym „złotym kamyczkiem”. I gdyby komuś z Czytelników przyszła ochota sprawdzić osobiście to, o czym była dotąd mowa, informuję jak można się do „Tamy” dostać.

Wisią płynąć nie radzę, bo chociaż taniej, to ogrom-

nie daleko i okreśną drogą przez Pilicę. Bardziej wskazany jest pociąg. Niestety tym środkiem lokomocji podróż nie będzie tak malownicza, jak sływać rzeką. Nie wiem bowiem czy dacie wiarę, że są w naszym kraju miejscowości, do których jedzie się ledwo ogrzanym, prawie nie oświetlonym pociągiem „widmem”, skleconym z trzeszczących, tańczących i tłukących się wagonów produkują „XIX wieku”, a mijane po drodze stacyjki będą błyskać przeważnie nikłymi światełkami naftowych lampek.

Tak właśnie jedzie się do „Tamy”. Po kilku godzinach podobnych przyjemności dobrniecie wreszcie do celu. Zaródki płonące na peronie „Tamy” wydadzą się wam słońcem, a ich blask brudnożółty niepokalanie wspaniałą teczą. Wyjdziecie następnie przed budynek stacyjny i jakkolwiek jesteście przyzwyczajeni do chuliganów, obłeci was strach. Długa, dwukilometrowa droga do „Tamy” ginać będzie w czerni nocy. Gdzieś daleko na horyzoncie błysnie za drzewami anemicznie uliczna latarnia. Żywego ducha ani na lekarstwo. Wewnętrzne zmagania — iść, nie iść... iść, nie iść... zakończy się — u przybyścia, nieznanego cichego i spo-

kojnego miasteczka — zwycięstwem — nie iść. Zawróćcie do budynku stacyjnego. O tej porze ani taksówki, ani autobus nie kursują.

W poczekalni — bufecie 2 klasy — kilka biodrzastych bab będzie drzemać wspartych głową na stołach. Przy kontuarze bufetu zobaczycie pijanego młodzieńca z twarzą przypominającą księżyc, tyle jest na jej lśniącej powierzchni przegrzonych wzgórków i wgłębieni. Jego kompan, będący już najprawdopodobniej na pograniczu nieszkodliwego delirium, bezkutecznie starać się będzie wyjść na dwór przez drzwiczki od kaflowego pieca.

Po godzinie, dwóch, a może i trzech zajędzie przed stację fiaker. Będzie to zwycięczajna drynda zaprzęgnięta w jednego „rumaka” niezbyt już pewnie stawiającego kopyta po tym świecie. Wyda się wam zbawieniem. Więc siadajcie, jeżeli wam nie żal 5 „dych”. Uwaga! Jazda tylko, by w czasie podskoku na którymś z wybojów ulicznych nie wylecieć z tego pięknego środka lokomocji prosto do rowu — (co się, jak dotąd, jeszcze nikomu z „miejscowych” nie przydarzyło).

Podcięty batem „rumak” szarpnie muzealnym wehikułem i poczapie w czarną

dal. Nad słabo oświetlonym miasteczkiem będą wisiały mgliste chmury i brzydkie zapach zgnitych jaj. Doróżkarz złośliwie zauważy:

— Śmierdzi niewąsko, co?

— Mieszkańcy „Tamy”

chyba z tego zadowoleni —

odpowiedzie. — Perspektywy, forsa, bogata przyszłość...

— Jak którzy, Doróżkarze

nie. Autobusy i taksówki nas wykończą. Jeszcze przy życiu trzyma człowieka to tylko, że po nocach nie kursują. Zawsze też dychę się zarobi. Ale i tego niedługo.

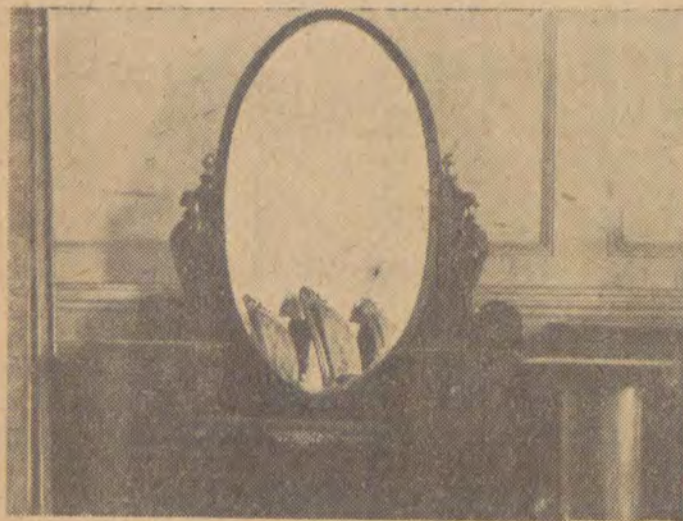
Przyjdzie chyba rzucić swój zawód, sprzedać konia i uwiesić się w tej siarce... za fizycznego. Takie teraz czasy.

Gawędząc z doróżkarzem dobrniecie wreszcie do miasteczka, w którym wszyscy są zajęci pogonią za „złotym kamyczkiem”. A na miejscu, w „Tamie”, mam nadzieję dacie sobie już radę. Załóżcie miłej podróży.

TADEUSZ SZEWEERA

*) Autor ma na myśli powieść Cz. Schabowskiego pt. „Tama” — przyp. redakcji.

odgłosy str. 7



JAN BĄBIŃSKI

Foto: ELŻBIETA ZECHENTFR

Pani Szambelanowa z Walewic

Walewice, majestatyczny pałac, siedziba starego rodu, leży na malowniczym wznesieniu, tuż nad rzeką Mroga. Już z oddali widać monumentalny korpus główny i dwa podłużne pawilony połączone oszklonymi galeriami. A nade wszystko portyk. Wspierały portyk, wsparty na czterech wysokich i smukłych kolumnach jońskich. Budowa cieszy oko czystymi kształtami klasycznej harmonii.

Pałac stanowi część kultury narodowej. Jego twórcą jest wybitny architekt doby stanisławowskiej Hilary Szpilowski.

Tutaj mieszkała pani Maria Walewska, czarnowłosa piękność, jedna z najpiękniejszych kobiet swojej epoki. Dla niej tracił głowę generałowie, uwielbiał ją Napoleon, cesarz Francuzów, pótbóg, władca Europy.

Czy Napoleon bawił kiedykolwiek w Walewicach? Sprzeczne są opinie na ten temat. Mieszkańcy Walewic utrzymują, że cesarz przebywał jakiś czas w Walewicach. Przyjeźdnym pokazują dużą komnatę na piętrze, o ścianach wyłożonych barwnymi tapetami z końca XVIII wieku. Tapety przedstawiają święto Dionizosa. W tej komnacie miał zatrzymać się Korsykanin. Okoliczni chłopcy nazywają komnatę po dziś dzień „pokojem Napoleona”. Komnatę zamieszkuje jedna z pracownic miejscowego PGR. Pokój sprawia wrażenie zaniedbania, na ścianach potworzyły się ciemne zaciekły, odpada sufit.

Gdzie łóżko pani Walewskiej, gdzie ono stało? Łóżka nie ma. Pokój sypialny przepięknej Marii można oglądać w Oporowie, dokąd został wywieziony przed kilku laty.

Niektórzy historycy natomiast, między innymi znany badacz dziejów Ziemi Łowickiej docent Jan Wegner, kustosz pobliskiego Muzeum w Nieborowie utrzymują, że Napoleona nigdy w Walewicach nie było. Historykom można ufać. Umieją oni w oparciu o listy, pamiętniki, rozkazy i inne dokumenty odtworzyć szczegółowo każdy dzień, ba... każdą godzinę w życiu wielkiego cesarza. Bonaparte nie przebywał w Walewicach. Gdzie więc poznał uroczą Marię, siedemnastoletnią dziewczynę z Kiernozi poślubioną przez Anastazego Walewskiego, 70-letniego starca, szambelana Stanisława Augusta Poniatowskiego?

Może przypadek zetknął ją z ognistym Południowcem, może ułatwiono jej pierwsze spotkanie ze zdobywcą kontynentu? Wszak mówi się, że

przez nią patrioci chcieli wyrzucić na cesarza pewien wpływ i nakłonić go do uznania niepodległości kraju. A może to także często opiewana przez poetów miłość od pierwszego wejrzenia?

Miłość była, o tym uczeni nie wątpią. Zachowały się listy pisane przez Napoleona, świadczące o gorącym uczuciu. Napoleon poznał panią Walewską na zamku warszawskim podczas prezentacji polskich dam. Działo się to 1 stycznia 1807 roku o 8 wieczorem.

Pani Makowska, obecna na uroczystości, zapisała:

— „Kiedy Napoleon podszedł do pani Walewskiej wykrzyknął:

— O, ile jest pięknych dam w Warszawie!”

Po dziesięciu dniach na balu w pałacu Tepera w Warszawie Napoleon tańczył z cudną szambelanową. W kilka lat później, 4 maja 1810 roku przyszedł na świat w pałacu walewskim Aleksander, syn Marii Walewskiej i Napoleona.

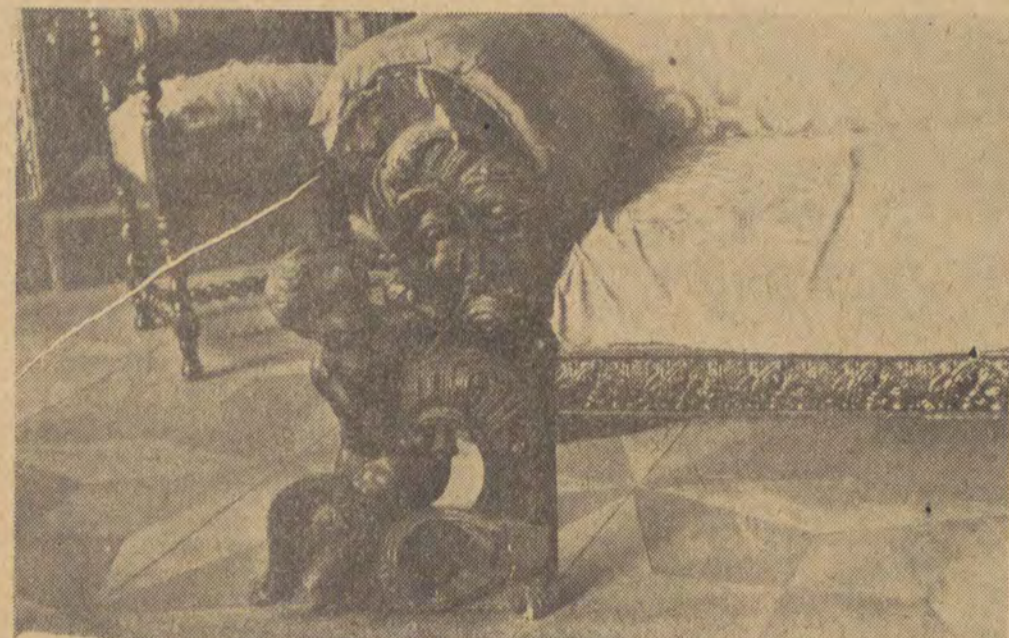
Wydaje się, że cesarz był bardzo przywiązany do syna. Podczas ucieczki spod Moskwy zatrzymał się w 1813 roku w Łowiczu, żeby zmienić konie. Wówczas przypomniał sobie, że niedaleko leżą Walewice, gdzie wychowuje się jego syn. Zaprzagnął udać się do Walewic ale generałowie jęli go przekonywać:

— Wali się cesarstwo, armia w rozsypanie, nie czas teraz na sprawy rodzinne.

Adiutant Dunin — Wasowicz wspomina, że po dłuższym namyśle, cesarz odpowiedział:

— „Dobrze, jedziemy dalej”.

Pojechał. Ale nie wszyscy przedostali się do słodkiej Francji. Obok walewskiego pałacu w niewielkiej odległości, na wznesieniu ukrytym za drzewami wznosi się potężny krzyż. To cmentarz żołnierzy napoleońskich. Cmentarzysko rozciąga się tuż obok pałacu, na odwiecznym szlaku nad Bzurą do pobliskiej Soboty. O brody przez Bzurę walczyli Polacy ze Szwedami, Prusacy z



Kozakami, ułani z czolgami oznaczonymi czarnym krzyżem. Sobota była niegdyś warownym miastem o 7 kosiolach, dziś jest małą wioszczyzną.

Milady lata. Aleksander rozwinął się pięknie i na wieść o powstaniu listopadowym zaciągnął się w szeregi powstańców. Został adiutantem Chłopińskiego. Za odwagę i odwagę w bitwie pod Grochowem otrzymał krzyż „Virtuti Militari”.

Po klęsce przedarł się do Francji.

Po latach, Napoleon III mianował go ambasadorem na dworze angielskim. W Londynie wywołało to kon-

sternację, traktowano ten krok jako afront w stosunku do Imperium Brytyjskiego.

Opowiadano wówczas taką anegdotkę:

Na jednym z balów w pałacu Buckingham grono młodzieńców zabawiało się tańcem. Wtem zjawił się Aleksander. Jego zdumiewające podobieństwo do zmarłego cesarza zwróciło uwagę wszystkich, taniec przerwano. Wtedy jedna z pań rzekła:

— Niech pan sobie z tego nie robi. Przecież to nie pana wina, że musieliśmy ojca zatrzymać w Londynie.

Na to odparł ambasador francuski:

— O ile wiem, mój ojciec szambelan Anastazy Walewski nigdy w Londynie nie przebywał.

Odpowiedź ta bardzo przypadła do gustu zebranym, gdyż powitano ją gromkim śmiechem, zaś ambasador został uznany za człowieka błyskotliwego, obdarzonego dużym talentem dyplomatycznym.

Sama Maria przeniosła się do Francji, gdzie wyszła powtórnie za mąż, tym razem za generała D'Ornano, późniejszego marszałka Francji. Zmarła w kilka lat później mając zaledwie 28 lat.

Była piękną, to pewne. Obok Marii Skłodowskiej jest ona bez wątpienia najbardziej znaną na świecie Polką. Pisano o niej książki, nakręcano filmy.

Rzecz ciekawa, prawnuk Walewskiej powrócił z Francji do Polski z armią generała Hallera.

A pałac?

Zniszczony i zaniedbany zachował nadal urzekającą sylwetkę, pełną wdzięku i prostoty. Przestronne wnętrza, obszerny westvul noszą wyraźne cechy epoki stanisławowskiej, czasów polskiego oświecenia. W



środku westybulu świecą marmurem szerokie schody.

Ileż to razy młodzietka Maria biegła po zimnych stopniach na górę do zacisznych pokoi? Jakże lekkie musiały być jej kroki... Tam na piętrze oddawała się zapewne marzeniom, a może rozpaczała nad niestałością kochanka?

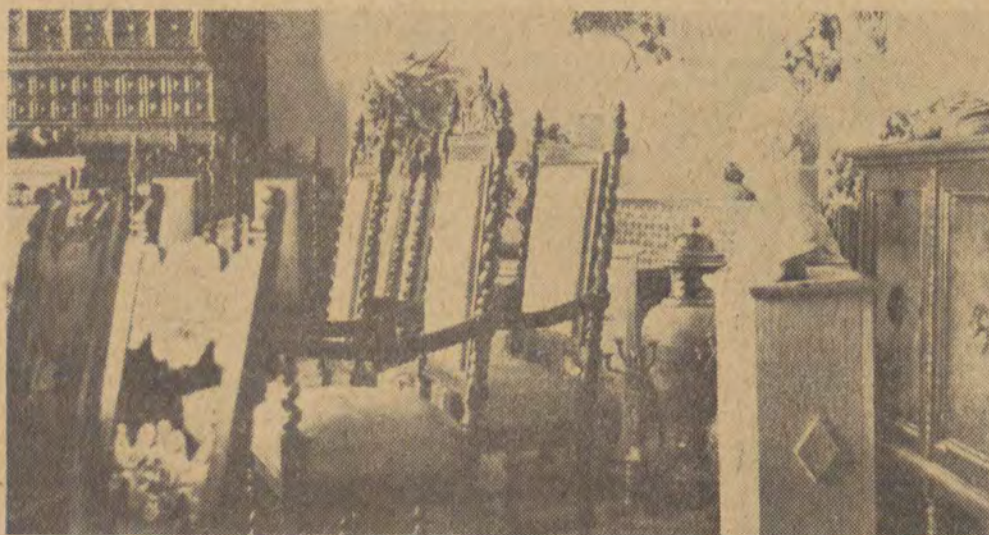
Co zostało z tych dni? Niewiele, bardzo niewiele. Polichromia, boazeria i precudne posadzki. Znałszy utrzymują, że są one równie piękne jak posadzki Pałacu Łazienkowskiego. Poza tym z wielkiego budynku wieje chłodem i zapomnieniem.

Jeszcze kilka lat temu w salonach na parterze pałacu mieściło się muzeum. Ówczesny kierownik PGR doszedł atoli do wniosku, że w budynku, na skutek tego, jest zbyt mało miejsca dla biur. Rozkazał eksponaty wywieźć, a do salonów wnieść biurka i szafy, które wkrótce wypełniły się równieciłymi segregatorami o stalowych grzbietach...

Być może, że nie potrwa to już długo. Grono działaczy kulturalnych regionu łowickiego podjęło wysiłki by odzyskać na powrót wywiezione skarby. Podobno rewindykacja ma dotyczyć niektórych zbawtków z Muzeum Sztuki w Łodzi oraz pokoi sypialnego i stołowego z Oporowa. Oby ta sprawa jak najszybciej znalazła się na dobrej drodze.

Ma też wrócić do Walewic Napoleon. W salonie na parterze, zawiśnie słynny portret Napoleona z Muzeum Narodowego w Warszawie. pędzla Wańkowicza, Walewice, owiane urokiem jednej z najbardziej romantycznych historii, jakże znają dzieje, ożywią się na nowo.

To bardzo pomyślnie wieści. Byleby tylko spełnienia projektów nie odłożono „ad calendas graecas”.



str 8 **odgłosy**



Rakieta międzyplanetarna „Tantara” wyruszyła z Ziemi na planetę Zirdę, aby zbadać dlaczego łączność z tą planetą została zerwana. Okazało się, że na skutek zabójczego promieniowania życie na Zirdzie zamario. Gwiazdołot znalazł się w tragicznej sytuacji. Na Zirdzie „Tantara” miała odnowić swe zapasy paliwa, co teraz stało się niemożliwe. Astronawci zdecydowali się składać z dość dużych ciał stałych. „Tantra” dawno by już zginęła, ponieważ w takim tłoku nie unikałaby zderzenia — wyjaśnił twardym głosem Erg Noor.

— Ale te nagłe zmiany siły ciążenia i wiry? Czyż to wszystko nie wskazywało na obecność Chmury? — Lub na obecność planety przy Żelaznej Gwieździe... I to niejednej... Astronawigator zagryzł wargi z taką siłą, że ukazała się na nich krew. Kierownik sam nacisnął sygnał budzenia. — Poproszę o zestawienie wyników obserwacji!... Obliczymy... Nagle gwiazdołot zakolebał się. Po ekranie z olbrzymią szybkością mignął jakiś wielki cień. — Oto mamy odpowiedź. Minełszy planetę. Szybko, szybko do pracy! — spojrzenie Noora padło na licznik paliwa. Palce jego mocniej wpiły się w oparcie fotela. Chciał coś powiedzieć, lecz zamilkł.

Rozdział II
IPSYLON TUKANA

Kierownik Zewnętrznych Stacji Wielkiego Pierścienia obserwował pracę aparatów. Robił to po raz ostatni. Dziś w jego życiu nastąpiła olbrzymia zmiana. Przybył już jego zastępca — Mwen Mas — wybrany przez Radę Wypraw Gwiazdnych. Dzisiaj czeka go jeszcze transmisja wykładu Wedy Kong. Nada ją już wspólnie z Masem... A potem?... Gdyby Weda chciała! Ale ona kocha Erg Noora — kierownika trzydziestej siódmej ekspedycji. Została więc tylko przyjaźń... „wektor przyjaźni” — to może łączyć go z Wedą... Dar spojrział na tarczę zegara. Audycję nadawano według czasu galaktycznego — co stu tysięczną sekundę galaktycznej, czyli raz na osiem dni według ziemskiego czasu. Bowiem jeden obrót Galaktyki na

około swej osi stanowił dobę galaktyczną.

Rozległ się dzwonek. Przybył młody człowiek w jasnym, jedwabście mieniącym się ubraniu. — Wszystko już gotowe do transmisji i odbioru — zameldował krótko.

— W sali szczęśliwej? — zapytał Dar i otrzymawszy twierdzącą odpowiedź poprosił o przysłanie Mwen Masa.

Pomocnik wyszedł. Dar Wietier podszedł do przezroczystej przegrody zaczerwienionej od sufitu aż do podłogi i szerokim ruchem otworzył dwa skrzydła ukryte w półce z kolorowego drzewa. Zapaliło się światło promieniujące z głębi ekranu podobnego do zwierciadła.

Kierownik Stacji Zewnętrznych za pomocą specjalnej klemy włączył „wektor przyjaźni” — bezpośrednie połączenie między ludźmi, których wiązała głęboka przyjaźń. „Wektor przyjaźni” służył dla wzajemnego kontaktowania się w każdej chwili.

W głębi oświetlonego ekranu pokazały się znajome kontury wysokich ścian z niezliczoną ilością znaków elektronowych filmów, które zastąpiły archaiczne fotokopie książek. Kiedy ludzkość przeszła na wspólny alfabet nazwany linarnym, filmowanie nawet starych książek jeszcze bardziej się uprościło. Niebieskie, zielone, czerwone paski — to są symbole filmotek centralnych, gdzie przechowywano wyniki badań naukowych od dawna wydawanych już tylko w kilkudziesięciu egzemplarzach. Wystarczyło bowiem pisać odpowiednie znaki i archiwum-filmoteka automatycznie przekazywała pełny tekst książki-filmu. Taką właśnie maszyną była prywatną biblioteką Wedy.

Cichy trzask — i ekran zapalił się od nowa, pokazując drugi pokój, również pusty. Dopiero w trzeciej sali Dar odnalazł Wedę Kong. Ujrzał jej miłą, wąską twarz z wielkimi szarymi oczami. Szeroki uśmiech wyraziście zakreślił usta oraz lekko zadarty nos czyniły twarz Wedy jeszcze miłszą i przyjazną.

— Weda. Do transmisji jest tylko dwie godziny. Musisz się przebrać. Chciałbym, żebyś przyszła do obserwatorium trochę wcześniej.

Kobieta na ekranie uniosła ręce, poprawiając jasnopopielate włosy.

— Według rozkazu, drogi Wietier — zaśmiała się cicho. — Idę do domu.

Ale Dara nie oszukał jej wesoły głos.

— Nie denerwuj się, odważna Wedo! Każdy występujący w audycjach dla Wielkiego Pierścienia przeżywał przecież kiedyś ten pierwszy raz...

— Nie trać słów na pocieszanie mnie — stanowczym ruchem uniosła głowę. — Wkrótce przybędę.

Ekran zgasł. Dar zamknął skrzydła szafki i odwrócił się na spotkanie Mwen Masa. Rysy twarzy oraz ciemnobrązowy odcień skóry wskazywały, że Mas miał murzyńskich przodków. Biały płaszcz opadał mu z potężnych ramion ciężkimi fałdami. Mwen Mas ścisnął obie dłonie Dara w swych mocnych chudych rękach. Obydwaj odznaczyli się dużym wzrostem. Wietier, który był potomkiem Rosjan — zdawał się być szerszy i masywniejszy od wysmukłego Afrykanina.

— Wydaje mi się, że zdarzy się dziś coś ważnego.

Dar Wietier wzruszył ramionami. — Dla nas trzech są ważniejsze sprawy. Ja przekażę swoją pracę. Wy ją przyjmiecie, a Weda Kong po raz pierwszy przemówi do Wszechświata.

— Czy ona jest ładna? — zapytał Mwen.

— Zobaczysz pan. W dzisiejszej audycji nie ma zresztą nic nadzwyczajnego. Weda przeczyta wykład z naszej historii dla planety KAZ 664456 + BSZ 3252.

Mwen Mas wykonał w pamięci skomplikowane obliczenia.

— Konstelacja Jednorożca, gwiazda Ross 614. System planetarny znany od niepamiętnych czasów — wyrecytował i dodał z przeproszącym uśmiechem. — Lubię stare nazwy i słowa.

Dar pomyślał, że Rada umie dobrać ludzi, a głośno powiedział:

— Będzie się panu dobrze pracowało z Jun Antem, kierownikiem Elektronowych Maszyn Pamięciowych. On siebie nazywa „kierownikiem lamp pamięci”.

Mwen Mas roześmiał się i zapytał:

— Kiedy przemówiła Ross 614?

— Przed pięćdziesięcioma dwoma laty. Wtedy bowiem przyswoiła sobie język Wielkiego Pierścienia. Dzieła nas od niej cztery parseki. Wykład Wedy doirze tam za trzydzieście lat.

— A co będzie po wykładzie?

— Odbiór. Od naszych przyjaciół otrzymamy jakieś nowiny z Pierścienia.

— Od Łabędzia 61?

— Oczywiście. Może również i od Wężownika 107, posługując się waszą starą terminologią.

Wszedł mężczyzna. Niewysoki, energiczny, z garbatym nosem. Budził sympatię swym uważnym, przenikłym spojrzeniem oczu ciemnych jak wiśnie. Przybysz potarł dłoń okrągłą, gładką głowę.

— Jestem Jun Ant — wysokim ostrym głosem przedstawił się Masowi.

Ten przywitał go z szacunkiem.

Kierownicy „maszyn pamięci” słynęli bowiem ze swej erudycji. Oni to decydowali, co z otrzymanych informacji warte jest uwiecznienia w „maszynach pamięci”, co należy kierować do masowego rozpowszechniania lub do pałaców twórczych.

Nagle rozległy się tony niespokojnej muzyki.

— Ostrzeżenie dla całej Ziemi. Dla wszystkich elektrowni, zakładów, fabryk i radiostacji, aby za pół godziny przestały pobierać energię. Muszą bowiem naładować się kondensatory. I to w takiej ilości, żeby można przebić atmosferę kierunkowym promieniowaniem. Transmisja pochłania bowiem czterdzieści trzy procent energii ziemskiej. Odbiór zaś tylko osiem procent — wyjaśnił Dar.

— Tak właśnie sobie to wyobrażalem — skinął głową Mwen Mas.

Nagle jego skupione spojrzenie zajaśniało zachwytem. Dar Wietier obejrzał się. Niezauważona przez nikogo Weda Kong stała za kolumną. Ubrana była w jeden z najpiękniejszych swych strojów. Ciężki węzeł wysoko upiętych popielatych włosów nie obciążał szczupłej szyi. Gładkie ramiona były obnażone. Nisko odsłonięte piersi podtrzymywał stanik z błękitnego materiału. Szeroka i krótka spódniczka z błękitnymi kwiatami na srebrnym tle ukazywała gole opalone nogi obute w wiśniowe pantofelki. Wielkie kamienie wiśniowego koloru płonęły na delikatnej szyi różniąc policzki i malutkie uszy.

Mwen Mas patrzył na Wedę z nieukrywanym podziwem. A ona spojrzała z niepokojem na Dara.

— Świetnie — odpowiedział na jej nieme pytanie.

— Rada lansuje zwyczaj, iż wykłady dla innych planet zawsze czytają piękne kobiety. Daje to pojęcie o naszym odczuciu piękna — ciągnął Dar.

— Rada nie pomyliła się w wyborze! — wykrzyknął Mas.

Znów rozległa się melodia trwożnych akordów.

— Już pora. Za pół godziny włączymy się w Pierścień! — Dar wziął Wedę za rękę. Wraz z towarzyszącymi zjechali ruchomymi schodami w głąb podziemi. Weszli do wykutej w skałę szczęśliwej sali.

Znajdowały się tam tylko przyrządy. Matowa powierzchnia czarnych ścian zdawała się być z aksamitu. Przecinały je ostre linie kryształowych pasów. Złote, zielone, błękitne i pomarańczowe ogniki słabo oświetlały podłazki, znaki, cyfry. Szmaragdowe ostrza strzałek drżały w czarnych półkulach, jakby wszystkie ściany były w stanie nerwowego wycieknięcia. Było jeszcze kilka foteli i duży stół z czarnego drzewa częściowo wsunięty w olbrzymi, perłowo opalizujący, półkolisty ekran oprawiony w masywną złotą ramę.

Zadźwięczał ciężki, groźny dzwon. Dar Wietier szybko się odwrócił i przekreślił długi lewar. Dzwon umilkł. Cała powierzchnia prawej ściany zaświeciła się. Ściana zniknęła w bezkresnej dali. Zabłyły kontury ogromnego szczytu górskiego uwieńczonego wielkim kamiennym kołem.

Mwen Mas rozpoznał Kenię. I znów ciężki grzmot wstrząsnął podziemiami. Dar Wietier wziął rękę Masa i położył ją na płonącej granatowym okiem okrągłą rączkę. Mwen posłusznie przesunął ją aż do oporu. Teraz całą energię Ziemi, całą jej siłę otrzymywaną z 1.760 potężnych elektrowni, przetruciono na równik, na górę pięciokilometrowej wysokości. Nad wierzchołkiem góry zakłębił się różnokolorowy blask, zgasł się w kulę i pomknął nagle w niebo, podobny do oszczepu, który przebiega błękitny przestwór. Nad blaskiem powstała cienka kolumna przypominająca trąbę powietrzną.

Kierunkowe promieniowanie przebiegało atmosferę ziemską tworząc stały kanał dla odbioru i przekazywania wiadomości do Stacji Zewnętrznych. Na wysokości 36 tysięcy km nad Ziemią wisiał sputnik dobowy — olbrzymia stacja jakby zawieszona nad Kenią, służąca do ciągłego kontaktowania się z Zewnętrznymi Stacjami. Drugi wielki sputnik znajdował się na wysokości 57 tys. km i był w stałym kontakcie z obserwatorium tybetańskim.

Ściana zgasła — kanał włączył się w odbiornik sputnika. Teraz zaśnił perłowy, oprawiony w złoty ekran. Ukazała się dziwnie powiększona sylwetka człowieka. Był to Gur Gar — obserwator dobowego sputnika. Wesoło skinął głową na powitanie

i włączył wszystkie otaczające Ziemię Zewnętrzne Stacje. Czułe oczy odbiorników nastawione zostały na wszystkie strony Wszechświata.

Na znak dany przez Dara, Weda Kong stanęła na metalowym dysku umieszczonym przed ekranem. Niewidzialne promienie popłynęły potężnym potokiem. Bez najlżejszego nawet szmeru rozpoczęły pracę maszyny elektronowe, tłumacząc wykład Wedy na język Wielkiego Pierścienia. Po trzynastu latach odbiorniki planety ciemnoczerwonej gwiazdy zanotują falowanie ogólnosiłowymi symbolami i, o ile istnieją tam mowa, elektronowe maszyny do tłumaczenia zamienią te symbole w dźwięki obcego języka.

Weda skończyła. Dar Wietier przesunął rączkę wyłącznika. Rozległ się przeciągły głęboki dzwon. Ekran zgasł i nagle zniknął. Przed oczami siedzących ludzi ukazała się nie-



samowitą głosią, rozpoczął się odbiór. Ciemna powierzchnia obcej planety zbliżała się i rosła z każdą sekundą. Wśród jej czarnych płaskich gór widać było olbrzymi przysadzisty gmach. Promień przebiegł dach i wszyscy ujrzeli szarokórego człowieka, z okrągłymi jak u sowy oczami; zamiast rąk otaczał je srebrny puszek. Człowiek ów był wysokiego wzrostu, lecz bardzo chudy, z długimi, przypominającymi macki, kończynami.

(D. c. n.)



CZY WYŚLAŁEŚ JUŻ DO REDAKCJI „ODGŁOSÓW” ARKUSZ ZBIORCZY PYTAŃ I ODPOWIEDZI W KONKURSIE „WSZYSTKO O MIESZKANIACH” ORAZ KOMPLET KOLEJNYCH KUPONÓW. JEŻELI DO KOMPLETU BRAKUJE CI JEDNEGO LUB WIĘCEJ KUPONÓW MOŻESZ JE ZASTĄPIĆ KUPONAMI ZASTĘPCZYMI. POZA TYM BRAKUJĄCE NUMERY „ODGŁOSÓW” MOŻESZ KUPIĆ W SKLEPIE „RUCHU” — ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA nr 96

odgłosy str. 9

CZY KAZIMIERZ DEJMEK JEST CUDOTWÓRCĄ?

Wszystko jest, twierdzą to nie bez pewnej chępliwości, w rękach młodych autorów. Tak, w ich rękach leży los polskiej poezji i polskiej sceny i polskiej Cepelii. Dla czego Cepelii, wytłumacząc poniżej. Na razie powiedzmy, że młodzi autorzy mogą jeszcze wiele i że nie należy niebacznie rezygnować z ich dobrych chęci służenia teatrówi polskiemu w dobie renesansu repertuaru bulwarowego. A to, że renesans taki, renesans tematyki mieszczańskiej — lub drobno-mieszczańskiej — saloniku, zagraża nam dzisiaj, w roku 1959, jest dla mnie rzeczą pewną. Oczywiście, mieszczańska komedycja a.d. 1959 nie może ograniczać się — przynajmniej pozornie — do problematyki małżeńskiego trójkąta, wpisanego w cztery ściany starannie umeblowanego saloniku. Przeżyliśmy przecież inwazję nowoczesności, słyszeliśmy coś niecoś o antyteatrze Eugène Ionesco, jesteśmy, bądź co bądź, obywatelami XX wieku. To zobowiązuje. Widz żąda dziś od nas nie tylko czegoś do placu, żąda także czegoś do dziwienia się. Nie rezygnując więc ze starych sposobów wyciskania łez, trzeba owego widza zadziwić i przekonać, że żyje w czasach, powiedzmy, nieco apokaliptycznych. Tak przynajmniej twierdzi Anatol Stern, autor komedycji, zażyłowanej „Cudotwórca”, a wystawionej ostatnio na scenie Teatru Nowego. Anatol Stern powiada: „Właściwie c'odzioło mi o ukazanie jednej z milionów rodzin w chwili, gdy ludzkość z jednej strony tworzy sztuczne planety i sięgnęła dosłownie do gwiazd, a z drugiej — grozi ziemi biologiczną zapałą”.

Oczywiście, ukazanie urzędniczej rodziny, nawet w tak wyjątkowej chwili, zapewniając może sukces kasowy (bo widz lubi oglądać na scenie siebie, a urzędników jest, jak wiemy, wielu), nie zapewniłoby autorowi sukcesu artystycznego. Anatol Stern nie napisał więc zwykłej miesz-

czańskiej farsy. Napisał — jak informuje nas w programie, a należy mu wierzyć, bo powołuje się przy tym na zdanie swych przyjaciół — dramat ludzkiej myśli, farsę metafizyczną, antimisterium. No tak, ostatecznie futurystyczna młodość do czegoś przecież zobowiązuje.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie mam nic przeciwko antimisteriom, rozgrywającym się w pokoju, którego umeblowanie reklamuje, jakże skutecznie, wyroby Cepelii. Ale bardzo nie lubię źle skonstruowanych antimisteriów. Antimisteriów, z których pewne rzeczy dają się usunąć bez szkody dla całości. Przykłady? Proszę bardzo. Gdyby z bufonady lirycznej Sterna usunąć — nie czekając na zarzuty, przyznając, że jestem barbarzyńcą — postaci cudotwórcy i jego klientów, otrzymalibyśmy sztukę — niestety, tylko sztukę — napisaną według wzoru, określającego składniki i proporcje komedii bulwarowej. Gdyby natomiast pozostawić w tekście postaci jasnowidza, kuglarza i organisty, a zrezygnować z bohaterów stojących na wierzchołkach trójkąta miłosnego — pozostałoby z „Cudotwórcy” trzy skecze, w sposób niewątpliwie interesujący przedstawiające przyrodzone ekażenia człowieka.

Tyle o Sternie. Kazimierz DejmeK, mając do wyboru dwie jego sztuki, zdecydował się — po długich, jak sądzę, wahaniach — zaprezentować nam je w czasie jednego wieczoru. Nie mam pretensji do inscenizatora. Stwierdzę tylko po raz pierwszy: Kazimierz DejmeK nie jest cudotwórcą. Nie oczekujemy więc od niego aby, używając zaklęć magicznych, stworzył z niczego współczesną dramaturgię polską.

I nadal wszystko jest, twierdzą do powtórnie, w rękach młodych autorów. Lecz gdzież są ci młodzi autorzy? Czy — z materiałami wybuchowymi w teckach — czekają pod drzwiami gabinetu Kazimierza Dejme-

ka? Czy przygotowują się do szturm na scenę Teatru Ludowego w Nowej Hucie albo na scenę Teatru Dramatycznego m. st. Warszawy? Czy też, kiedy Karol Borowski przemierza trasę między Grand Hotelem a Teatrem Jaracza, biegną za nim i proszą, krzyczą, błagają?

— Panie dyrektorze, niech pan to przeczyta, niech pan to weźmie w próby, kiedy premiera, panie dyrektorze?

Nie. Młodzi autorzy są skromni, bardzo skromni. Chcą, aby ich przesono, aby im zapewniano, aby im udostępniono. Co? Chociażby scenę Teatru Nowego w Łodzi. Wydaje mi się, że młodzi autorzy mają dużo racji. Piszą — nie jestem bez winy — uroczę jednoaktówki, mikropoematy dramatyczne, błyskotliwe black-out'y. Zadają realizacji swych niepełnospektaklowych i niepełnotletnich dzieł, a przy tym nie chcą reklamować Cepelii. Tak, mają rację. Sztuki pisze się przecież po to, aby oglądali je ludzie, zwani widzami. I sądzę że należałoby młodym udzielić niejako poparcia, pozwolić im przejść przez próbę sceny. Być może, oni to właśnie stworzą polski antyteatr.

Dłatego to bardzo ucieszyła mnie wiadomość, że w najbliższym czasie o'warta zostanie mała scena Teatru Nowego. Miałem powody, aby przypuszczać, że na tej scenie Kazimierz DejmeK nie będzie inscenizował Zapolskiej, czy Perzyńskiego. Cóż by więc mógł tam inscenizować? Nie wiem, to Kazimierza DejmeKa tajemnica, chyba dość gorzka tajemnica. Zaproponujmy jednak, że zwykłą bezczelnością: a może by tak małą scenę oddać w ręce młodych? Nie jestem aż tak zażartym wrogiem teatru iluzji, bym twierdził, że młodzi burzyściele starych form powinni otrzymać prawo decydowania o życiu teatralnym całego miasta. Ale — pisałem już kiedyś o tym — Łodzi potrzebna jest mała, bardzo mała scena, scena kameral-

na, na której można by realizować rzeczy małe, a piękne. Ot, chociażby słuchowiska Szaniawskiego. Albo fragmenty sztuk, które rzadko — zbyt rzadko — wchodzi na nasze sceny. Na przykład Krasieńskiego, na przykład Claudela. Albo mikropoematy młodych. Wierną publiczność takiego teatru stanowiliby ci, którzy nie mają ochoty oglądać „Lekkomyślnej siostry” czy „Królowej przedmieścia”. Pisałem, że wszystko przemawia za tym, aby dla tego typu teatru przeznaczony został lokal przy ul. Traugutta. Oczywiście, mój głos był głosem szaleńca. Pisałem, nie myśląc o publiczności, o finansach i o kilku innych błahostkach. Publiczność zwyciężyła. Teraz przy ul. Traugutta gra się „Madame Sans Gene”, a jeden z niewielu reżyserów, którzy mogliby taki teatr małych form poprowadzić — myślę o Jerzym An'czaku — błąka się między kamerami telewizyj. Dobrze mu tak, młody jest, ma pomysły, niech się błąka. Publiczność, o tym trzeba pamiętać, zawsze zwycięża. Niekiedy wbrew sztuce, a więc — obiektywnie — wbrew sobie.

Lecz czy można zwyciężyć Kazimierza DejmeKa? Powtarzam, nie wiem, jakie były jego zamysły, jeśli chodzi o los małej sceny. Mogę się tylko domyślać, mogę wierzyć i wątpić. Wątpić? Tak, wątpię w to, że scena taka kiedykolwiek powstanie. Bo kogo nie pokona nacisk gusłów powszechnych, tego zawsze jeszcze mogą pokonać urzędnicy. A sprawę małej sceny — i całego zaplecza Teatru Nowego — wzięli teraz w swe ręce urzędnicy. I to urzędnicy nie byle jacy, bo ministerialni. Urzędnicy odmówili kredytu na dalsze prace związane z przebudową zaplecza teatru przy ulicy Więckowskiego. Wydaliliście, powiadają urzędnicy, prawie dwa i pół miliona złotych? Dość. Nie damy ani grosza więcej. Cóż nas to obchodzi, że wyzerpalicie kredyty i że potrzebujecie jeszcze milion złotych na zakończenie prac?



Tadeusz Minc i Hanna Bedryńska w II akcie „Cudotwórcy”.

Cóż nas to obchodzi, że kosztorys robót musiał zostać zmieniony? Cóż nas wreszcie obchodzi, powiadają urzędnicy, Teatr Nowy i plany artystyczne Kazimierza DejmeKa? Teatr Nowy został zdecentralizowany. Teraz niech o los jego troszczy się Miejska Rada Narodowa.

Kazimierz DejmeK nie jest cudotwórcą. Nie wiem, skąd weźmie miliona złotych na przebudowę zaplecza swojego teatru. Nie wiem, czy będziemy mieli w Łodzi małą scenę przy ul. Zachodniej. Nie wiem, co mają począć młodzi autorzy.

Być może, sprawa zaplecza nie stanowiłaby problemu, gdyby przed Teatrem Nowym stanęła perspektywa rychłej przeprowadzki. Nie, nie do Warszawy. Do wznowionego z mozołem gmachu na placu Dąbrowskiego. Ale wiemy już, że Kazimierz DejmeK na placu Dąbrowskiego nie będzie dyktował. Tam bowiem wprowadził się Opera Łódzka. Nikt się z nikim o ten gmach nie spierał, nikt nikogo o nic nie

pytał, ktoś zdecydował o 'otorys robót musiał zostać zmieniony? Cóż nas wreszcie obchodzi, powiadają urzędnicy, Teatr Nowy i plany artystyczne Kazimierza DejmeKa? Teatr Nowy został zdecentralizowany. Teraz niech o los jego troszczy się Miejska Rada Narodowa. Kazimierz DejmeK nie jest cudotwórcą. Nie wiem, skąd weźmie miliona złotych na przebudowę zaplecza swojego teatru. Nie wiem, czy będziemy mieli w Łodzi małą scenę przy ul. Zachodniej. Nie wiem, co mają począć młodzi autorzy. Być może, sprawa zaplecza nie stanowiłaby problemu, gdyby przed Teatrem Nowym stanęła perspektywa rychłej przeprowadzki. Nie, nie do Warszawy. Do wznowionego z mozołem gmachu na placu Dąbrowskiego. Ale wiemy już, że Kazimierz DejmeK na placu Dąbrowskiego nie będzie dyktował. Tam bowiem wprowadził się Opera Łódzka. Nikt się z nikim o ten gmach nie spierał, nikt nikogo o nic nie

paleta

Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego
HENRYKA ANDERSA
pod redakcją

Jak wiemy już, każda epoka, ba, każde pokolenie posiada własne odrębne ideały artystyczne, własne pojęcie piękna. A jednak bywają niespodziewane nawroty...

Oto wita nas średniowieczny anioł z katedry w Bambergu. Jest nam rad,

str. 10 **odgłosy**



wyrażnie rad. Śmieje się, aż oczki mu wpadły i drgają policzki. Gdyby mógł, gdyby nie był z kamienia, podskakiwałby na swoim cokole. A przecież to nie byle kto — anioł, istota niebiańska,

stwór wzniosły i godny uwielbienia według oceny owej „mrocznej” epoki ideał duchowego i fizycznego piękna. Na nasz gust nie jest on, co prawda, ani taki śliczny,

ani uduchowiony — gęba raczej pospolita, rysy nieregularne, niemodne uczesanie. Ale cieszyć się umie.

Jak dziwnie podobny do owej niezłomnej osoby jest młody grecki sportowiec, który śmiechem się rzewnie na wizerunku z archaicznego grobowca. Ani mu w głowie jakoweś „rozróbki”. Spogląda na świat zyczliwie i bez uprzedzeń. Żył w innej epoce i w odmiennym stroju, lecz były to również młode dzieje chwile ludzkości.

I dzisiaj jeszcze, choć rzadko, zdarza się, że podlotki chichoczą po katedrach. W kosmosie latają talerze, stateczni meżowie układają szalone noty, a te śmieją się, same nie wiedząc z czego. Ot, obnoszą swoje celece szczęście na przekór różnym czarownikom i „zazlemającym”.

Co by na to powiedział stary złośliwiec Diogenes, który, chodząc ze świecą po rynku, więcej spotykał śmiechu niż cynizmu. Po prostu kiedyś ludzkość była młodsza i bardziej naiwna. Odmienne jednak niż każdy z nas w pojedynkę, młodość swa przeżywała kilkakrotnie i tyleż razy naiwność była dla niej stanem przyrodzonym i normalnym. I zawsze rozbrzmiewał wówczas śmiech, śmiech, który dowodził, że człowiek jest stworzeniem myślącym.

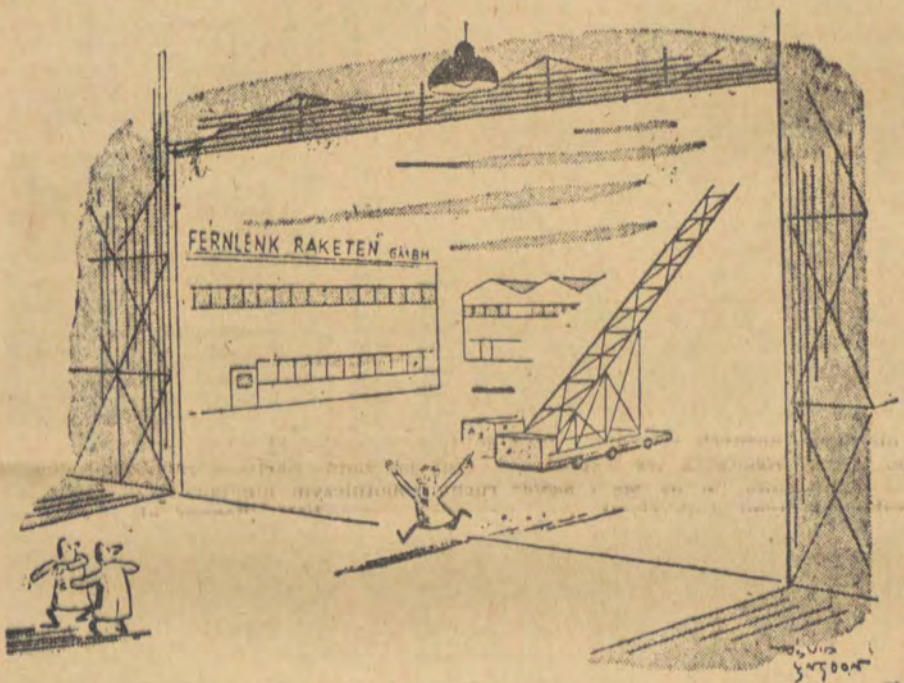
Na jubileusz „Pstrąga”



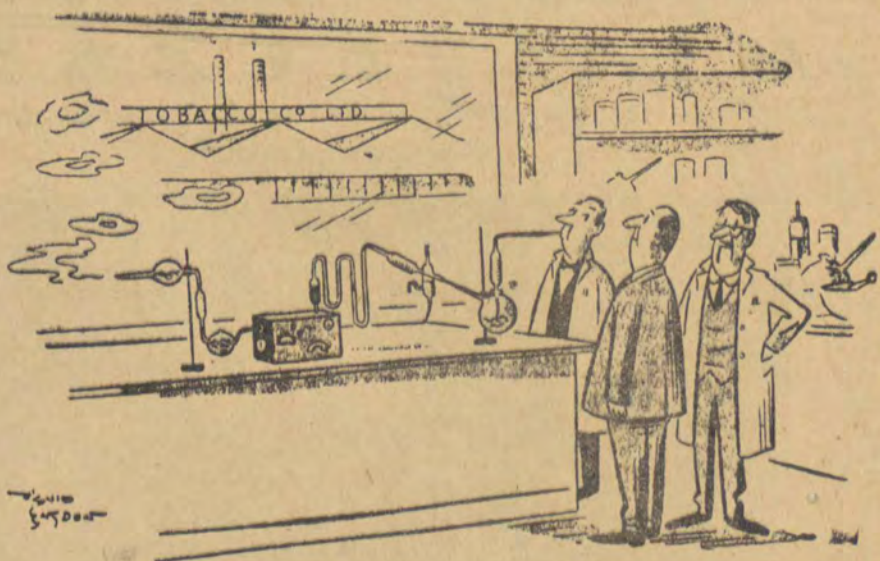
Miły sercu naszemu Teatryku Studencki „Pstrąg”! W czwarta rocznicę Twych urodzin życzymy Ci wszystkiego, co się szczęściem zwię, a więc primo dalszych świetnych artystycznych sukcesów, secundo własnego dachu nad głową, tertio skutecznego środka zwalczającego łysinę niektórych asów twego zespołu aktorskiego. Uznanie w oczach miejscowych czynników nie musimy Ci życzyć, bowiem na ostatniej premierze widzieliśmy, że czynniki oklaskiwały Twój program z prawdziwym entuzjazmem. A w przerwie — zdradzimy to tylko w trybie życzliwych urodzinowych — podsłuchaliśmy, jak pewna wysoko postawiona osobistość mówiła: „I pomyśleć, że jeszcze niedawno martwiliśmy się, co z tego „Pstrąga” wyrosnie”.



— Słuchajcie chłopcy, czy wy nie wiecie, gdzie w tych nowych samochodach jest gaźnik?



— Hej — ona wraca!!!



Wszystko w porządku. Tylko musimy teraz zredukować nasz przyrząd do wymiarów filtra w cygarnicze...

DAVID LANGDON

Młody to jeszcze rysownik, debiutował dopiero po ostatniej wojnie. Widocznie sławny co leciwy (118 lat jednak przypadł do gustu istnieniu) tygodnik satyrycznym swoim rodakom, bo krótko po debiucie zaczął drukować rysunki Langdona równie ostatniej wojnie. Widocznie sławny co leciwy (118 lat jednak przypadł do gustu istnieniu) tygodnik satyrycznym swoim rodakom, bo krótko

Z początkiem lat pięćdziesiątych pismo to, zawsze tak mocno przywiązane do swych tradycji — przeszło dość gruntowne przeobrażenie: redakcja „Puncha” zaprobowała wreszcie nowsze formy dowcipu, zarzucono praktykę dawania co tydzień niezmienną okładki etc. Spory udział miał w tym David Langdon, który



Rys. Czesław Sadowski

W związku z organizowaną przez „Odgłosy” akcją prezentowania łódzkich satyryków redakcja zwraca się do Pana o łaskawe odpowiedzi na następujące pytania:

- 1) Czy bawi Pana Pańska twórczość satyryczna?
- Bawi, gdy śmieje się ten, z którego ja się śmieję.
- 2) Czy lubi Pan zwierzęta, a jeśli tak, to jakie?
- Ludzkie.
- 3) Czy gra Pan w „Kukuleczkę”? A jeśli nie, to w co?
- Od urodzenia w tak zwane ryzyko życia. Zresztą to nie ja gram, to mną grają.
- 4) W jakich warunkach Pan pracuje? Co Pana przeszkadza, a co pomaga w pracy?
- W antagonistycznych. Pomaga w twórczości to, co przeszkadza w życiu i odwrotnie.
- 5) Co sądzi Pan o swoich kolegach-satyrykach?
- Ich natchnienie klóci się z dowcipem, z wyjątkiem Igora Sikryckiego, Zygmunta Fijasa, Jana Czarnego i ś. p. Kaliksta Łasieckiego odkrytego pośmiertnie przez Jana Huszcę.
- 6) Czy „Odgłosy” Pana bawią? Uczą? Podtrzymują na duchu?
- Wprost przeciwnie. To ja usiłuję je bawić, uczyć i podtrzymywać na duchu.

MARIAN PIECHAL

Do Alojzego Gonzagi
(anathema)

Motto:

„Nie darmom dziś w przeczuciu zła
trzy razy na czczo kichnął:
aby pokazać swoje „ja”
na dudkaś, mnie wystrychnął!”
Zygmunt Oścień

Dowiedz się człeku, któryś winien zwać się chmielem, przyczynno, wciąż rodząca zębne dla mnie skutki, czemu jestem na trzeźwo twoim przeciwnikiem, a wrogiem twym śmiertelnym po kieliszku wódki.

Tys mi wmówił, żeś wieszczbiarzą przez niebo natchniony, tłumacz tajemnic ziemskich, ambasador boski, składający w harmonii led niedościgniony wszystkich odgłosów świata chaotyczne zgłoski.

A tymczasem ma Psyche wraz z mistyczną zgaga, sam mój wygląd zewnętrzny, cała moja postać świadczy, że gdybyś nie ty, Alojzy Gonzago, mógłbym jeszcze za życia świętym pańskim zostać.

Przez ciebie, o uparty wyznawco kielicha, minąłem się z właściwym moim powołaniem: zdradza mnie w każdym geście prozelityzm mnicha i słowo z ust jak z procy Dawidowej kamień.

Nie podałeś mi ręki, gdy bym na rozdrożu jak na krzyżu mych wahań wewnętrznych rozpięty — tyś to sprawił, podstępnie złośliwy Jamrozu, że zostałem poetą, zamiast zostać świętym.

Kusicielu przewrotny, mistrzu deprawacji, sam szatan ci twych niecznych sposobów zazdrości — tyś to bezwzględnie poddał alkoholizacji jaźń mają jak kwiat wytrysną z odblasków wieczności.

Odtąd klęć cię pijany za to, żeś znieprawiał serce moje napędem wrzących alkoholów, żeś je świętej ascezy na zawsze pozbawił, w kabałę lunatycznych wkiłając symbolów.

A na trzeźwo czczę ciebie za to, żeś zapobiegł, aby mi rzeczywistość zbyt wczesnie nie zbrzydła, żeś myśl moją pchnął gwiazdą w planetarny obieg, do pięć mych ascetycznych przypinając skrzydła.

Za to, żeś umiłował fantazma poezji! po trzykroć ci grzech każdy będzie odpuszczony, a ja — apostat misji, luminat herezji — po trzykroć za to samo będę potępiony.

Wnet z poczwerek ciał naszych dusze jak motyle wyfruną — twoja słońcu, moja nocy wierna, mnie hymn sowa zawyje, a tobie serwie imitatorum pecus — tuszcza ścierważerna.

Zanim więc nas Thanatos na wieki rozdzieli, otwierając nam żyły, by krew z nich wyciekła, niech spłyną reszki wina do wyschłych gardzieli, ciebie unosząc w niebo — mnie grając w dno piekła!

FRASZKI

UWAGA BIBLIOTEKARKI O PEWNEJ KSIĄŻCE

Znać, że autor się męczył przy każdej stronie — jeszcze więcej się męczył jego czytelnicy.

MÓWCA

Zaczął mowę — stracił głowę.

TRAKTAT O POEZJI

Sobie śpiewam i muzie, całując muzę w buzię*) i, czerpiąc stąd natchnienie, w natchnieniu się nie lenię. A muza znów wzajemnie natchnienia szuka we mnie, żądając, by me pióro zgodnie ze swą naturą wzmagało wzajemności tej ku sobie skłonności obustronnie lirycznej, raczej apollinowej, ściśle apolitycznej, do śpiewu wciąż gotowej lutni, gdzie każda struna podobna do pioruna żywym ogniem uderza w oszusta i fałszerza,

zwłaszcza tego w urzędzie gdzieś na najwyższej grzędzie co wartość Wenus z Milo mierzy wagą na kilo, a Homera używa, miast traktora, do żniwa. Tak więc nie tylko piewę, gdy służyć prawdzie nie chce, lecz też i polityka złotym żądłem dotyka (choć jest apolityczna) muza. pszczoła liryczna promieniste natchnienie, dziejów Sąd i Sumienie!

*) Może być: „w nóżce” — zależnie od gustu czytelnika.



ma za złe — bo ostatecznie Langdon jest człowiekiem dowcipnym...

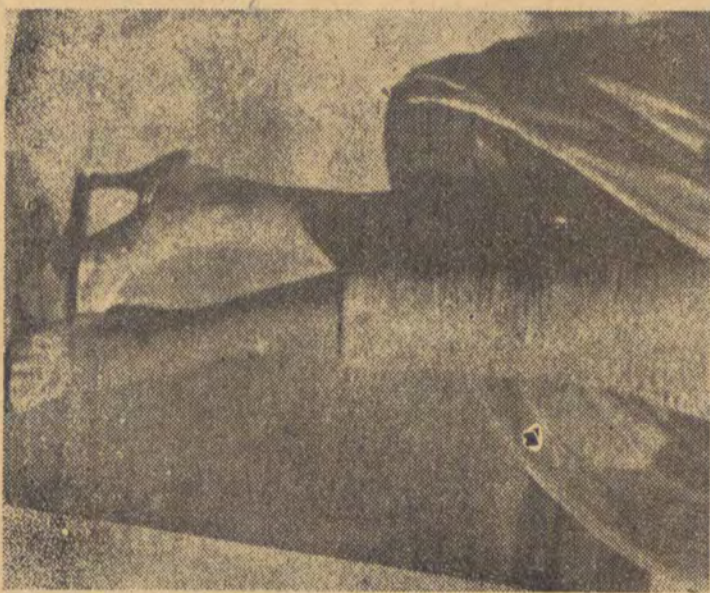
Poza wspomnianym już „Punchem”, drukuje stale żarty Langdona co najmniej tuzin innych magazynów, a między innymi — amerykański „New Yorker”. Niemalże wyróżnienie dla europejskiego karykaturzysty!



A. NIESMIAŁEK

NATALIA

Nowy film twórcy „Fantana-Tulipana” i „Pustelni Parmenskiej” — Christiana Jaquet’a „Natalia” — łączy dwie podstawowe rzeczy, które decydują o powodzeniu u publiczności, Zawiera wątek sensacyjno-kryminalny z trzema wątkami. Dalej, narracja filmu utrzymana jest w formie groteski a nawet ironii pod adresem dwóch stron — gangsterów i policji. Motorem zmagającym obie te strony do atakującego dla widzów działania — jest oczywiście kobieta. Pomyśl więc mienowy, bo znany polskimi widzami chociażby z bardzo przyjemnie zrealizowanego filmu Raipha Habiba „Agnieszka wśród gangsterów” (z Dany Carrel w roli głównej). Na tyle jednak jest żywy, pełny dramatycznie spide i nieoczekiwanych rozwiązań, że choćby przyszło jeszcze obejrzać tuż takich



„Natalii” i „Agnieszki wśród gangsterów”, nie jest ten pewien czy znużoność to widzów.

Christian Jaquet stawia bohaterkę filmu Natalię kilka razy w położeniu bez wyjścia. Rozwiązanie jednej sytuacji prowadzi do zawiązania następnej. Postacie filmu reżyser potraktował dobitnie, z ironicznym przymrużeniem oka. Dialogi pełne są francuskiej frywolności i pikantii. Czynikiem wiążącym całą fabułę filmu jest postać Natalii, która w interpretacji Martine Carol poza wdziękiem i urodą — posiada wiele sprytu i kobiecej sportywalności. Wszystkie te elementy są niezłym wabikiem dla młodego, a przy tym gapiowatego przedawiciela władzy.

„Natalia” wabi nie tylko męskich bohaterów filmu, ale przede wszystkim publiczność, która otrzymuje za jednym zamachem: sensację, groteskę i mroźne podziwianie wdzięku wiecznie młodej Martine. Całość kończy efektowny finał z ironizacją polną. Wszyscy są zadowoleni; a ja bez wyrzutu sunięcia mogę Wam polecić ten film.



A. J. PIOTROWSKI

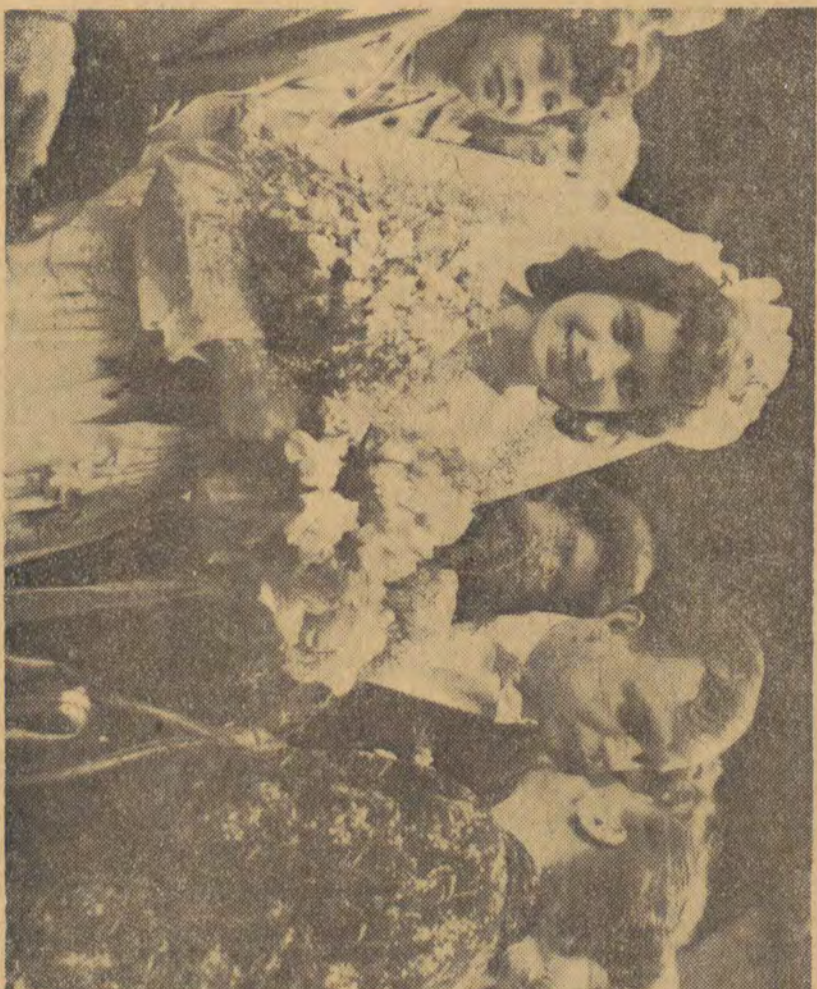
SIÓDMA PIECZĘĆ

Główny (przed paroma miesiącami) fetowany film produkcji szwedzkiej — „Siódma pieczęć” — doczekał się już wersji polskiej i już dziś znajdzie się na naszych ekranach. Jest to film niezwykle interesujący, aczkolwiek nie na tyle, by robić zet przebojowy. W tej roli „Siódma pieczęć” czuje się niedobrze; przypomina „Czarownicę z Salemu”, zarówno tematycznie jak i ujęciem reżyserskiej koncepcji.

Akcja „Siódmej pieczęci” dzieje się w czasach średniowiecza. Z dalekiej, dziesięcioleciej krucjaty wraca rycerz krzyżowy z gienkiem. Gienek jest cokolwiek roztrzęsiony od swego pana. Dawno już dokonał wyboru i pojął bezpieczną wyprawę. Natomiast rycerz waha się jeszcze, szuka prawdy. Obserwuje okrucieństwa, które napotyka wracając; absurdalne procesy czarownic oskarżanych o związki z diabłem, procesy biczowników, prażących pokorą i samouciestwiem oddalonych od swych domów zaraż. Równoległe prowadzone jest w filmie wątek wędrownych komedianów. Młody zongler z żoną i dzieckiem przyjeżdża w wozie pod płacienym dachem by dać naiwne spektakle, piosenki i taniec z dzwonkami. Przypadek łączy na krótko losy artystów z innymi rycerzami, pod koniec ballady odcleja w swoje strony. Najciekawszy w tym filmie jest wątek i konsekwencje operowania czynnikami fantazji. Reżyser nie stawia przyzwyczajonej „kropki nad i” — pozwała widzieli na samodzielną wypracowanie wątków. Dzięki temu niewątpliwie antykrucjacyllizm tego filmu nie sprząda się do deklaracyjnych ślad (jak to się nierzadko dzieje) ale daje się uogólnić, odzwierciedlić od czasów, w których jest osadzony. Film momentami staje się współczesnym dramatem, zamkniętym jedynie w konwencji kostiumowej dla jasności wywodu. Ale widowiec jest jakby niepełnie bez udziału fantazji widza, wymasa aktywnego oglądania, a

MIASTECZKO

— to nowy film produkcji polskiej zrealizowany w zespole „Droga”



Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”. O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. O Wskazywanie: 4-21, kwartał miesięczny 4-21. O Redakcja nie odpowiada za treść materiałów reklamowych. O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Istnieje również możliwość prenumeracji przez PUPiK „Kuchni”. Znacznikiem na „Odegi” Druk HSW „Prasa” — Łódź, Zwirki II, Z. 906. III. 58. S-7

EDWARD ETLER

MAMY FABRYKĘ SNÓW

Narysował swego czasu p. Karol Baranicki dużą kamerę filmową, wokół której krążyła piątka banknotów na jakich brzydkie rzeczy. Po latach (z okazji Wystawy Rysunków „Kartuzeli”) rzecz została przypomniana, a no przez oprawienie w gustowne ramki, jako też pomieszczenie na łamach katalogu i obecnie wędruje sobie przez Polskę, wzbudzając niemałe zainteresanie. Pisałoby się już, iż fakt zdekodowania się wspomnianego rysunku — znakomite ilustruje przemianę rodzimnej Kineematografii. Nie przewidywalny jednak, że kilku panów ze Stołecy obudzi się mocno po niewczasie, dostarczy rysunek i pozwolą dać w surmy a stały targać, iż Baranicki święcie narodową kartę, bo strach pomyśleć — Odrodzoną Kineematografii obrazali. Zaraz też, aby było śmiałości, autor rysunku wycał się na z rory upatrzone pozycje i ogłosił, że miał na myśli jedynie Kiepskich i Wórców, a nie twórców znacznych, których dzieła skutecznie Polskę w świecie rozświetla. I na tym

w zasadzie awantura się skończyła. Gwoli ścisłości warto by tylko dodać, iż rysunek jest dowcipny, a fakt milionowej aktualności — bynajmniej owego dowcipu nie osłabia.

Ostatni jednakże na uboczu walory plastyczne rysunku, aby przypomnieć z bezpośredniością pozbaawiona widzieli, iż rzeczywiście m. e. filmowe przesławionej kiesz. To było wczora. Dziś obserwowany pierwszy symptom powstającej na jej miejsce fabryki snów. I gdyby ten p. Karol Baranicki zasnął do nowej wersji swego dawnego rysunku, to widać narosłoby większą kamerę (wzrost możliwości produkcyjnych) i jeszcze większe grono krzątających się osób. Tylko że przedobca szaby tym razem w imym kierunku. Oto do kamery włączyłoby się owe różne brzydkie rzeczy, a wyrobiczyby z niej słoty szeszeszczących — banknotów. W najbardziej konkretnym wyraziku — rysunek ten ilustrowałby czas filmu reżyserii Jana Rybkowskiego „Anatoli szuka miliona”. Wówczas wiedza do kamery niedobry scenarzysta, a wyszedł kasowy filmik, który

się będzie podobał publiczności. I licząc na złotówki — przyntnie „Anatoli szuka miliona” piętnacie razy więcej — niż „Dom na pustkowiu” uczyniło od chwili swojego nakreślenia aż po dzień dzisiejszy.

A „Dom na pustkowiu” — nie będzie tait — jest natomiast jednym z lepszych filmów polskich, a na pewno najlepszym wśród obrazów reżyserii Jana Rybkowskiego. (Nawiasem mówiąc — warto by ów film wznowić, podobnie jak warto by przypomnieć „Kopalinę” — reżyserii Nalali Brzozowskiej ze znakomitymi udziałami Andrzejki Ancouty, i inne, także przydz paroma laty pochnonie poleplone, ciekawe filmy polskie.)

„Anatoli szuka miliona” jest drugim (po „Kapłanach”) filmem z „pananabolowej” serii. Trzeci film jest także na ukorceniu i jak wieść niesie — ukorczy się niebawem. Takóż więc mamy na własnym podwórku pierwsze prawdziwe fabryki snów — serię! Zasadą serii jest prawi: jedna postać występuje w różnych anegdotach. (Znana seria nie wchodziła natomiast poziom artystyczny rzeczy, jakże że w ramach tegoż kalendaru ischnie bogaty asortyment wszelkich możliwości, od filmów Charplina po cyki o Tarzanie.)

„Anatoli szuka miliona” — wydał mi się filmem do oglądania, a nawet — do oglądania z przyjemnością. Był może, iż stało się tak ze względu na nader subiektywne. Otóż film Rybkowskiego wy-

świetlany jest w mariażu dość specyficznym, w towarzysze instruktazu o obronie przeciwatomowej. Po 45-minutowej lekcji mamy dość kina, przyznajmy jej na Tydzień. I uwagi! Bezpretensjonalna historia szukanego miliona — samodzielnie — na pierwszy rzutek — nie została uratowana — nawet ka-

pietna obsada aktorska tego filmu (chyba, a mójbr-dzie) wyrownana w historii komedii polskiej) niedo- czego by nie była zdolna uratować — gdyby nie pomysłny arcyprypradek: Oto nakamieniami spieczętowanym konkretnym instruktażem, tajemnowymni wywodami o grubościach piwnicznych strupów (mierzonych w centymetrach) tudzież widokami pszczkodowanego (bóka z rzucającym powidłami, sceny w basenie itp), ale tu i ówdzie daje się zauważyć próba żartu o charakterze nowszym, oparta na grze słów i komizmie sytuacji. A w sumie jest „Anatoli” filmem wywodzącym się z gatunku kwestii. Jest na takie filmy dużo reklam (Tolka) czy owo (finał mało komuni-

bespennie zapotrzebowanie, zgłaszane przez szeregowego widza. Temu widzieli stury fabryka snów, i było idealista — piekne, wierzący w wyjątkowe postawienie kina — nie dostarczy sensu tej oczywistej prawidowości. Zresztą przyznajmy się: bajki i bajny ogromnie. Naiwne niekiedy — także.

Makowska dowiaduje się od męża w jaki sposób został oguszony (skąd on to wie?) przez kogo (kto mu to powiedział?) i co się z nim dzieło, gdy 1:2:1 w stanie zamroczenia. (Warto przypomnieć, że tego rodzaju gaffę pisał Munk w „Człowieku na tarze”, gdy w opowiadaniu kolejarza pojawiają się nagłe dzieci i zamieniają lampy — jakby narrator mógł to zobaczyć.)

Mamy więc, w postaci filmowych przegód p. Anatola — drugą już cechę fabryki snów, pozarabianą rzeczywiście małąką (programowo!) mało wspaniałego z ołaczającym ncs światem. Gag w tym filmie budowany jest na tradycji liczącej sobie pół wieka (bóka z rzucającym powidłami, sceny w basenie itp), ale tu i ówdzie daje się zauważyć próba żartu o charakterze nowszym, oparta na grze słów i komizmie sytuacji. A w sumie jest „Anatoli” filmem wywodzącym się z gatunku kwestii. Jest na takie filmy dużo reklam (Tolka) czy owo (finał mało komuni-